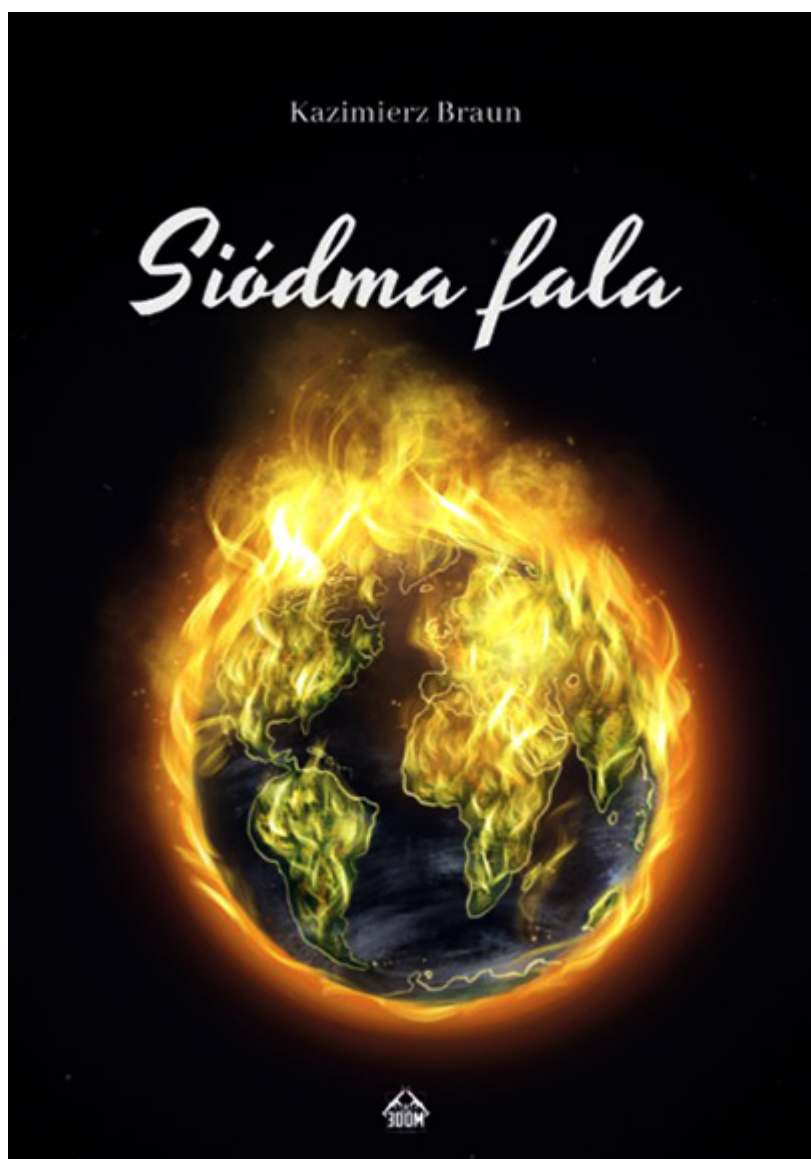


Lotnisko Ben Gurion



Siódma fala to powieść współczesna, której akcja dzieje się w latach dwudziestych XXI w., tuż po wygaśnięciu kolejnej fali globalnej „pandemii”. Polski poeta udaje się do Ziemi Świętej na pielgrzymkę, którą zakłóca spotkanie ze znajomą sprzed lat. A „pandemia” wróciła...



Kazimierz Braun jest reżyserem, pisarzem i uczyonym. Prowadził teatry i reżyserował w Polsce; reżyserował również w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Kanadzie, Niemczech i innych krajach. Opublikował ponad 50 książek – prac naukowych, powieści, dramatów, poezji – w kilku językach. Wykładał na uniwersytetach i prowadził warsztaty dla reżyserów w Polsce, USA, Irlandii, Wielkiej Brytanii.



Kazimierz Braun, Siódma fala, wyd. 3DOM, 2022 r.

*

On: Zbigniew Kubitowski, profesor literatury, emerytowany redaktor naczelny stołecznego pisma literackiego „Strofy”, tajny korespondent paryskiej „Kultury” podczas stanu wojennego, z rodzinną AK-owską przeszłością.

Ona: Esther Levi, urodzona w tym samym, co on 1955 roku,

absolwentka tego samego kierunku na tym samym Uniwersytecie, czyli warszawskiej polonistyki. W Polsce występowała pod innym nazwiskiem. Żydowskiego pochodzenia. Była Naczelnikiem Wydziału Literatury w Urzędzie Cenzury. Piękna kobieta, choć bezwzględna jako cenzor. Jeden z trybików systemu represji. On, jako redaktor naczelny pisma literackiego, wielokrotnie bywał w jej gabinecie, walcząc o każde zdanie swoich autorów. Po zakończeniu stanu wojennego, w 1984 r., przewidując zmiany, jakie nastąpią w Polsce, skorzystała ze swoich koneksji oraz informacji jakie zebrała będąc na takim stanowisku, a także wykorzystując swoje pochodzenie i przez Paryż wyjechała do Izraela.

Po wygaśnięciu kolejnej fali pandemii Zbigniew Kubitowski niespodziewanie otrzymuje zaproszenie na festiwal literacki „Poesia Mundum in Publico” z *The Hebrew University of Jerusalem*. Zaproszenie podpisała prof. Esther Levi, obecnie ekspert od literatury porównawczej.

Powieść Kazimierza Brauna „Siódma fala” opowiada o zmaganiach z wszelkiego rodzaju ograniczeniami, brakiem wolności, cenzurą, nakazami, zakazami, podporządkowaniu jednostki nie tylko totalitarnej władzy, ale i wielkim koncernom oraz mitom, tworzonym na potrzeby potężnych grup, rządzących światem. Bohaterowi przyjdzie zmierzyć się z tym, co powie prof. Levi, na temat mechanizmów władzy, tworzenia fałszywych

dowodów, przeciwko osobom niewygodnym, mistyfikacji, zmuszania do podejmowania decyzji wbrew własnym wyborom, kreowania rzeczywistości zgodnie z propagandą. Autor sam doświadczył na sobie tych metod, więc zna je doskonale.

Fala pandemii, podporządkowywanie się restrykcjom covidowym, też spowodowały ingerencję w wolność jednostki.

Czy wyjazd do Ziemi Świętej i konfrontacja z przeszłością da odpowiedzi na wiele pytań egzystencjalnych? Czy podróż po miejscach związanych z chrześcijańską tradycją, dla ateisty, jakim czuje się bohater, spowoduje jego odnowę duchową, przemianę metafizyczną? Wobec ciągłych informacji medialnych o olbrzymiej umieralności z powodu wirusa, człowiek zadaje sobie pytanie czy istnieje tylko ciało, czy jest coś poza nim, czy duch jest wieczny? Bohater powieści będzie więc musiał zmierzyć się z wieloma nurtującymi go problemami, z różnych obszarów. Taki scenariusz podsunęło mu życie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, redaktor

*



Izrael, fot. pixabay

Fragment powieści „Siódma fala”

Kazimierz Braun (*Buffalo, USA*)

Stał już dłuższą chwilę przed wojskowym w oliwkowym mundurze studiującym uważnie jego paszport. Kontrola graniczna. Lotnisko Ben Gurion. Wojskowy był zasłonięty szeroką plastikową szybą, z małym tylko otworem u dołu, w który Zbigniew Kubitowski wsunął kilka minut temu swój paszport. Za tym wojskowym stała grupa młodych żołnierzy, mężczyzn i kobiet, z ogromnymi – takie przynajmniej robiły wrażenie – karabinami maszynowymi. Niektórzy mieli je powieszony na ramionach, na za długich parczanych pasach; któryś trzymał swój karabin myśliwskim sposobem oparty o przedramię; inny pod

pachą. Patrzyli na niego smutnymi oczami, bez uśmiechu. K. wyczuwał, że również za jego plecami stoi kilku takich żołnierzy, którzy uplasowali się tam, gdy podchodził do kontroli.

To było pierwsze, uderzające wrażenie na ziemi państwa Izrael. Zastanowiło go to – ci młodzi ludzie bez uśmiechu, z ogromnymi karabinami. Uświadomił sobie, że zawsze, odruchowo, instynktownie, młodość kojarzyła mu się z uśmiechem, nawet z głośnym śmiechem, lekkim ruchem, swobodą, żartem, dowcipem, tańcem, sportem, grą. Tacy byli koledzy w szkole, na studiach, tacy byli jego studenci, tacy byli młodzi poeci przynoszący mu do redakcji swoje wiersze. Och, oczywiście, nie wszyscy, nie zawsze i nie wszędzie. Nie w czasie egzaminów, nie przy niezliczonej ilości innych okazji, gdy obowiązywała powaga. Jednak powaga młodych, których sobie przypominał, była powagą skupienia, a nie smutku, jaki – jak mu się wydało – wyczytał w oczach tych młodych izraelskich żołnierzy. Byli bardzo młodzi, a zarazem bardzo smutni.

Wojskowy kartkujący jego paszport dawał mu dużo czasu na te myśli. Odwrócił głowę i spojrzął na grupę żołnierzy stojącą za nim. Uśmiechnął się. Nie otrzymał uśmiechu w odpowiedzi. Patrzyli na niego uważnie, z zainteresowaniem, na, tak, oczywiście, najwyraźniej, jako na obcego.

(...)

Wciąż pochylony nad jego paszportem oficer sięgnął tymczasem po telefon i z kimś rozmawiał, rzucając raz i drugi okiem na pasażera stojącego przed jego stanowiskiem.

- Czy oni mnie w ogóle tutaj wpuszczą? - pomyślał K. - Może cały ten pomysł z eskapadą do Izraela był głupi, niepotrzebny, szalony.

A było to tak, że gdy otrzymał zaproszenie na Światowy Festiwal o nazwie „Poesia Mundum in Publico” w Tel Awiwie, najpierw długo zastanawiał się czy warto podejmować trud podróży, narażać się na zmianę klimatu, na nocowanie w niewiadomo jakim hotelu, jedzenie jakichś potraw, może i smacznych, ale zapewne niezdrowych, z punktu widzenia diety, którą stosował, spotkanie się pewnie z nowymi i ciekawymi ludźmi, ale pewnie także z nudziarzami, jakich nigdy nie brak na takich zgromadzeniach.

Nie był nigdy na Bliskim Wschodzie. Nie było okazji. Choć podróżował wiele po świecie - oczywiście po Europie, ale był także dwa razy w Ameryce, raz w Brazylii, raz Chinach. W Izraelu nigdy. A przy tym, organizatorzy oferowali znakomite, atrakcyjne warunki: zwrot kosztów biletu lotniczego klasą business, opłacenie hotelu, hojne dietyienne, a na dodatek honoraria za udział w spotkaniach autorskich. Gratka. W programie festiwalu były przewidziane także dni przeznaczone

na dwie „wycieczki turystyczne”, jak napisano, po Jerozolimie i nad Morze Martwe, tu z uwagą, aby zaopatrzyć się w kostium kąpielowy. To też kroilo się atrakcyjnie.

Jak zawsze przy takich okazjach sprawdził dokładnie, kto przysłał mu to zaproszenie. Pochodziło z *The Hebrew University of Jerusalem*. Podpisane było przez przewodniczącą komitetu organizacyjnego festiwalu, profesor Esther Levi.

Także swoim zwyczajem „wygoogłał” nieznane mu nazwisko. Ta uczona miała porządne hasło w Wikipedii. Zwróciło jednak jego uwagę, że w rozdziale biograficznym było napisane, że urodziła się w Warszawie w 1955 roku (była więc jego rówieśnicą) i tamże studiowała literaturę polską.

- Polonistykę? - zastanowił się. - Nie miałem takiej koleżanki. Chociaż - myślał dalej - mogła być o rok wyżej, bo ja, gdy zdawałem, i jak sędzę zdałem bardzo dobrze, egzamin wstępny na polonistykę, to nie zostałem przyjęty, z moim inteligentnym pochodzeniem, z AK-owską przeszłością moich rodziców.

Przypomniał sobie jak podchodząc do egzaminu wstępnego po raz drugi, wpisał w ankiecie personalnej w rubryce „pochodzenie”, sakramentalnej formułki: „inteligencja pracująca”, tylko „robotnicze”, bo - nieprzyjęty na studia, poszedł do pracy, po prostu na budowę i był zwykłym robotnikiem. Z tak

wypełnioną ankietą, a na dodatek ze „skierowaniem na studia w drodze awansu społecznego”, jaki wystawiła mu „personalna” w biurze budowy, na studia się dostał o rok później od swojego rocznika.

- Więc ta kobieta, ta profesor Levi, choć rówieśnica, mogła być o rok wyżej ode mnie. A wydział duży. Nie znało się wszystkich.

W biogramie profesor Levi nie było - co go wtedy mocno zdziwiło - nic więcej o długim przecież, rozdziale jej życia w Polsce. Tylko, że w 1984 r. przeniosła się do Izraela.

- Zaraz, zaraz, jeśli skończyła tę polonistykę gdzieś we wczesnych latach siedemdziesiątych, to musiała gdzieś pracować w Polsce przez około dziesięć lat. I nic o tym? Gdzie pracowała? Co robiła? Nic? - Ano, nic. Intrygujące. Przecież wygląda na to, że była jego koleżanką, polonistką.

Jeszcze chwile grzebał wtedy w Internecie, ale niczego się więcej o tej profesor Levi nie doszukał. W Wikipedii było tylko, że w Izraelu uzyskała doktorat z literatury porównawczej, wykładała, została profesorem, od lat była dziekanem Wydziału Literatury Porównawczej na Uniwersytecie w Jerozolimie. Miała solidną, choć niezbyt długą listę publikacji książkowych na tematy literaturoznawcze w hebrajskim, a także w niemieckim i rosyjskim - musiała znać te dwa języki. Nie zajmowała się

literaturą polską, choć, jak wynikałoby z jej życiorysu, musiała znać język polski.

Były też w Internecie fotografie tej kobiety. Jej twarz wydała mi się jakby znajoma, ale przecież nie znał w Warszawie żadnej pani Levi. No cóż była polską Żydówką, wiele było takich i wielu Żydów wyjeżdżało z Polski do Izraela. Zwłaszcza dwoma falami – po wojnie, a szczególnie licznie po ogłoszeniu przez Izrael niepodległości w 1948 r. i obronieniu jej przed Arabami oraz po 1968 r.. Za pierwszym razem załapywali się na ogromnie korzystne możliwości osiedlenia stwarzane przez programy stymulujące imigrację Żydów z całego świata do nowo powstałego państwa. Za drugim razem korzystali z pretekstu gomułkowskiej kampanii antysemitycznej. Ale wyjeżdżali także indywidualnie w różnym czasie. Tak, czy inaczej, nie znał tej kobiety, choć pomyślał, że jak się z nią spotka, to będą mogli rozmawiać po polsku.

Cały festiwal zaplanowany był z wielkim rozmachem i niewątpliwie miał – wytknięty przez organizatorów – aspekt propagandowy: przedstawienie Izraela jako kraju pokojowego, opiekującego się kulturą i sztuką, przyjaznego twórcom z całego świata. Nie podobało mu się to – wyraźnie wyczuwalne – narzucenie uczestnikom Festiwalu ról zwolenników tego państwa, ale pomyślał, że w żadne działania, czy też deklaracje zatrącające o politykę, po prostu by się nie wdawał. Natomiast

wykorzystałby podróż turystycznie, zwiedzając nieznane sobie do tej pory miejsca.

Niepokoilo go przy tym także, czające się gdzieś głęboko i drugie niebezpieczeństwo, którego nie chciał nawet sam dla siebie artykułować, ale ono snulo się po jego podświadomości i nie dawalo się łatwo wyprzeć. Oto znajdzie się przecież w Ziemi Świętej. Od lat ateista, pamiętał jednak z dzieciństwa i jeszcze z lat szkolnych ewangeliczne opowieści o wędrówkach Jezusa po tamtych terenach. Był przecież nawet przez dobrych parę lat ministrantem, jeździł na „Oazy” księdza Blachnickiego, chodził na rekolekcje studenckie do kościoła św. Anny. Wiedział, co się wydarzyło się dwa tysiące lat temu w jakimś domku w Nazarecie i w polnej szopce pod Betlejem, jakie wydarzenia opisywane w Ewangeliach działy się nad Jordanem, jakie w okolicy Kafarnaum, a wreszcie co stało się w Jerozolimie.

Nawiedzała go więc niejasna obawa, że konfrontacja z tymi miejscami, związana z nimi pamięcią pokoleń, dotknięcie reliktyw i artefaktów chrześcijaństwa, skonfrontowanie się z tradycją Kościoła Katolickiego, niewątpliwie właśnie tam żywą i namacalną, może zachwiać jego dumny, obnoszony publicznie „naukowy pogląd na świat”, albo i podważyć jego decyzję zerwania z katolicyzmem, którą podjął będąc na drugim roku studiów, więc dokładnie w wieku 21 lat. A teraz miał przeszło siedemdziesiątkę. Od pół wieku był oficjalnie „niewierzący”.

Rozważając czy ma się na ten festiwal wybrać, uświadomił sobie także, że w grę wchodzi dodatkowo element miłości własnej. Oto z Polski został zaproszony właśnie on, a nie ktoś inny. A skoro już został w ten sposób jakoś wybrany, wyróżniony, namaszczony przez organizatorów festiwalu, to w czasie jego trwania będzie niewątpliwie celebrowany na tym międzynarodowym forum, jako „wybitny polski poeta”. Niektórzy koledzy poeci – znał ich wielu w różnych krajach – będą mu zazdrościć, może nawet częstować ironicznymi uszczypliwościami, ale znajdą się też pochlebcy i miło będzie słuchać ich laudacji, komplementów. Zgromadzeni na spotkaniach autorskich słuchacze będą klaskać po przeczytaniu przez niego każdego wiersza. Dziennikarze na konferencjach prasowych będą mu zadawać głupie pytania, na które on będzie odpowiadał błyskotliwie, popisując się swoją erudycją, inteligencją, zaskakującymi diagnozami i znajomością kilku języków.

W sumie – zdecydował się pojechać. Od razu zaczął się szykować do podróży, wybierając z półki tomiki swoich wierszy, a w tomikach zaznaczając te, które chciał przeczytać na planowanych w ramach Festiwalu, spotkaniach autorskich. Wydobył następnie te wiersze z komputera i – zgodnie z prośbą organizatorów festiwalu – przesłał je Internetem. Miały być przełożone na hebrajski i odczytywane przez tłumaczy. Taki organizatorzy proponowali format spotkań: poeta czyta swój wiersz w swoim języku, a zaraz potem odczytuje go po hebrajsku

tłumacz. Po wystąpieniu poety, a w każdym spotkaniu miały wziąć udział trzy osoby, miałyby się odbyć dyskusja z udziałem zgromadzonej publiczności.

Organizatorzy prosili, aby każdy z uczestników festiwalu wziął udział w trzech publicznych spotkaniach. Miały się one odbyć w jakichś klubach kultury i na uniwersytetach w różnych miejscowościach. Festiwal miał też program turystyczny. Kroiły się więc ciekawe wycieczki. Był też „bal pożegnalny”. Ostatnia „biesiada poetycka” z udziałem wszystkich gości festiwalu została zaplanowana w ogrodach rezydencji prezydenta państwa z jego udziałem.

Dodatkowo, organizatorzy prosili o przysłanie kilku swoich książek na wystawę dzieł uczestników festiwalu. Został też poproszony – już indywidualnie, właśnie on, a nie ktoś inny, co łechtało jego miłość własną – o wygłoszenie referatu o współczesnej poezji polskiej na sesji teoretycznej w *The Hebrew University of Jerusalem* (taką nawę podano z zaproszeniu), która była pierwszym punktem obszernego programu festiwalu – był poetą, zresztą także prozaikiem, ale był przecież także profesorem literatury. Za ten wykład miał otrzymać osobne honorarium. Doprawdy – gratka.

Festiwal wyznaczony był na wczesną wiosnę roku 2020. I gdy już się psychicznie nastawił na tę podróż, gdy napisał swój referat,

gdy wysłał swoje wiersze do przetłumaczenia, a książki na wystawę, gdy już wykupił bilet lotniczy i zarezerwował hotel, wybuchła „pandemia”. Granice zostały zamknięte. Podróże zakazane. Festiwal, oczywiście, został odwołany.

(...)

Gdy sytuacja na świecie wreszcie wróciła, no, nie do normalności, ale do „nowej normalności”, organizatorzy Festiwalu ponownie rozesłali zaproszenia. Także i on je otrzymał. Już wznowiono normalną komunikację lotniczą. Już przestały obowiązywać drakońskie ograniczenia liczby osób na imprezach sportowych, w kościołach, w salach wykładowych.

- Więc i na spotkaniach autorskich - pomyślał.

Już nie trzeba było nosić stale masek-kagańców, obowiązkowo testować się i obowiązkowo szczepić przed każdą podróżą, a potem okazywać „paszport szczepionkowy” podchodząc do lady jakiejś linii lotniczej, do kontroli bagażu ręcznego, i jeszcze raz przy wejściu do samolotu, i jeszcze raz przy kontroli granicznej w porcie docelowym.

I oto stał już od kilku minut przed izraelskim oficerem za plastikową szybą stanowiska kontroli paszportowej, a tamten ciągle coś sprawdzał w komputerze, gdzieś telefonował.

Najwyraźniej był dla niego kimś podejrzanym. No cóż, mogły być, co najmniej, dwa tego powody. Jego działalność opozycyjna pod komuną. I jego choroba w czasie „pandemii”.

Jak wiadomo, liczne służby wielu krajów interesowały się działaniami opozycjonistów polskich – i w jednych krajach zdobywały one poklask, a w innych stanowiły niezmywalną plamę. W każdym razie na pewno były notowane w komputerowych bazach danych wywiadów wojskowych i cywilnych.

On zresztą, zanim został opozycjonistą, umiejętnie balansował latami na powierzchni zatechłego stawku peerelowskiej literatury. Ani nie zapisał się, mimo kilkakrotnych zachęt, do rządzącej partii komunistycznej, ani się nie włączył w bulgoczące gdzieś na dnie tego stawku działania opozycyjne.

W sumie, miał w środowisku zasłużoną etykietę sprytnego lawiranta, a zarazem, paradoksalnie, kogoś bardzo niezależnego. Był niewątpliwie umiejętnym ekwilibrystą i umiejętnym charakteryzatorem potrafiącym jakby kilkoma kreskami szminki, czy tuszu, zmienić swoją twarz, zależnie od tego z kim rozmawiał, gdzie się znajdował. Tak działał, a raczej pływał, latami, po płytkim bajorku literackim.

Przymusowe kontakty, zadawanie się z rządzcami kraju, z

partyjnymi aparatczykami zawsze go brzydziły. A takie kontakty musiał utrzymywać, jako redaktor naczelny stołecznego czasopisma literackiego. Musiał chodzić na rozmowy do KC PZPR i do Ministerstwa Kultury, na które był wzywany, albo sam o nie prosił, pragnąc załatwić jakąś sprawę, o której decydowali „decydenci”. Tylko do Urzędu Cenzury chodził chętnie, bo tam spotykał się, rozmawiał, negocjował z piękną kobietą, która była Naczelniczką Wydziału Literatury. Ale to była tylko wąska szpara w małym lufciku wykrojonym gdzieś pod sufitem dusznej piwnicy, w której, wraz z całym literackim środowiskiem na co dzień mieszkał i często, po prostu, się dusił.

Natomiast z opozycjonistami miał częste, zawodowe i towarzyskie kontakty, ale nie włączał się w ich jawne akcje – w ich strajki głodowe, czy podpisywanie jakichś memoriałów. Nie uczestniczył też w opozycyjnych działaniach ukrytych, jak przemykanie za granicę informacji i utworów literackich – to do czasu, do czasu. Przy wódce, którą pił umiarkowanie, wysłuchiwał utyskiwań swoich kolegów na zaprowadzone w Polsce przez Sowietów porządki, utrzymywane latami, jak to kiedyś dowcipnie nazwał Ireneusz Iredyński, przez ich polskich „podwykonawców”. Ale sam nie zwierzał się nigdy i nikomu ze swoich prawdziwych poglądów. Gdy został naczelnym „Strof” to zaraz zaprosił do kolegium redakcyjnego i partyjnego Mariana Grześczaka, i opozycjonistę Bogdana Urbankowskiego. Publikował ich teksty i w ogóle starał się jak najszerzej otwierać

wachlarz autorów dobieranych z lewa i prawa – z prawa, oczywiście na ile dopuszczali do tego cenzorzy, w tym szefowa piramidy cenzorskiej władzy.

Sam zamieszczał w „Strofach” swoje utwory rzadko, nie chcąc wykorzystywać swego stanowiska dla promowania siebie samego, ale za to pisał cotygodniowy „wstępniak”, a raczej felieton, w którym musiał zawsze jakoś wywiązać się z obowiązku lansowania bieżącej „polityki kulturalnej”, ale zarazem czynił to w sposób pokrętny, niejednokrotnie nawet dwuznaczny.

Podpisywał te felietony tylko K. Oczywiście, był to inicjał jego nazwiska, Kubitowski, i o tym wszyscy wiedzieli, ale sam dla siebie, traktował to K. jako kryptonim słowa „Każdy”, a więc imienia bohatera średniowiecznego moralitetu. W ten sposób K. stawał się właśnie każdym – każdym człowiekiem myślącym i inteligentnym (a miał przekonanie o błyskotliwości swojej inteligencji), każdym Polakiem, mieszkańcem PRL-u. W ten sposób K. był – w jego mniemaniu – głosem wielu, przemawiał w imieniu wielu. Bardzo mu samemu imponowała i podobała się tak szeroka interpretacja tego inicjału. Zawsze, gdy po tekście swego felietonu stawiał swoje K. puszył się sam przed sobą, że oto przemówił w imieniu ogromnej rzeszy.

Odmieniło go lato 1976 roku. Zelektryzowały go wiadomości o strajkach, starciach, represjach w Radomiu i Ursusie szeptane w

kawiarni Związku Literatów Polskich na Placu Zamkowym, dramatycznie przedzierające się przez zagłuszarki Wolnej Europy. Pojechał do Radomia, pojechał do Ursusa, rozmawiał z ludźmi.

Odczuł nagle nieznośny ciężar kapelusza, którym kłaniał się partyjnym nadzorcom życia literackiego. Poczł obrzydliwość smaku podtykanych mu do polukrowania w cotygodniowym wstępniaku wytycznych propagandowych bieżącej „polityki kulturalnej” PRL-u. Rozejrzał się dookoła i jakby w świetle punktowego reflektora tak wyraźnie zobaczył biedę i szarość kraju. Chodząc po mieście zaczął liczyć ilu ludzi stoi w kolejce przed sklepami.

Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że jako pisarz ma obowiązki. Nie wolno mu w wierszach rozczepiać tylko na delikatne włókna swego *ego*, ubierać w kunsztowne metafory swoje, i tylko swoje, przeżycia, nastroje. Ma obowiązek pisać o ludziach, o kraju, o życiu jakie jest dookoła.

Wiedziony nagłym impulsem napisał ostry reportaż o tym, co się stało - o strajkach i pochodach, o biciu i aresztowaniach, o gniewie. Gdy skończył stukać na maszynie uświadomił sobie, że jest to tekst absolutnie niecenzuralny, że jego „służbowa znajoma”, jak ją nazywał w myśli, w Urzędzie Cenzury niechybnie go zatrzyma. Nie zastanawiając się długo napisał na

następnej wkręconej na wałek kartce list do Redaktora Jerzego Giedroycia. Napisał obszernie i szczerze kim jest. Zaproponował swój reportaż. A jeśli Szanowny Pan Redaktor byłby tym zainteresowany – to on proponuje stałą współpracę.

Ale przecież nie mógł ani swego reportażu, ani listu zanieść po prostu na pocztę. To byłby koniec jego urzędowania na stanowisku redaktora naczelnego „Strof”. Może i początek jakiegoś procesu, odsiadywania jakiegoś wyroku. Przecież tak nętkano nie kogo innego tylko Mistrza i Nestora Melchiora Wańkowicza, za treść prywatnych listów, nawet nie za publikacje za granicą.

Wymyślił. Włożył reportaż i list do jednej koperty. Na osobną kartkę przepisał, z wyciągniętego z pudła pod łóżkiem numeru „Kultury”, adres w Maison Lafitte. Poszedł do Ambasady Kanadyjskiej – dlaczego Kanadyjskiej? Tak sobie to skombinował. Jego wejście do Ambasady Francuskiej, naturalnie rejestrowane przez milicyjne kamery, stanowiłoby oczywisty trop. A znów dla Niemców, czy Włochów, sprawa, z którą się wybierał, mogłaby nie być w ogóle interesująca. Więc Kanada, kraj prawie socjalistyczny, acz „zachodni”, to jednak w oczach reżimu nie taki zły, więc jakoś hołubiony, jako, potencjalna przynajmniej, przeciwwaga na pewno złej, kapitalistycznej Ameryki. Choć i to była ruletka. Postanowił zagrać.

Przedstawił się strażnikowi przy wejściu, jako redaktor naczelny czasopisma literackiego. Poprosił o rozmowę z konsulem od spraw kultury. Nie czekał długo. Przyjął go młody człowiek, o spojrzeniu bystrym, jasnej twarzy. Rozmawiali po francusku.

K. dokładnie opowiedział o sobie. Powiedział następnie, że postanowił wystąpić przeciwko nieludzkiemu reżimowi panującemu w Polsce i zwraca się do niego, reprezentanta wolnego kraju. Jako pisarz ma do dyspozycji jedną broń – słowo. Jednak w państwie komunistycznym nie ma wolności słowa, cenzura jest totalna i nie ma żadnej możliwości publikacji wolnego słowa. Oczywiście, poza drukami podziemnymi, ale te mają stosunkowo niewielki krąg czytelników. Wolne słowo polskie brzmi za granicą z radia z Wolnej Europy, z Głosu Ameryki. Wolne słowo polskie publikowane jest za granicami Polski. A najważniejszym wolnym polskim głosem jest miesięcznik „Kultura” wydawany w Paryżu. Dociera on na cały świat i jest również przemywany do kraju.

I tu cel jego wizyty u pana konsula. Oto jest reportaż o strajkach i starciach w Radomiu i w Ursusie – reportaż prawdziwy, zawierający fakty, oparty o wywiady z uczestnikami. Czy pan konsul zechciałby przesłać, zapewne pocztą dyplomatyczną, ten reportaż pod wskazany tu, na tej kartce adres w Paryżu? Acha, i żeby to było jasne. On, Zbigniew Kubitowski, zapewnia pana konsula, że nie jest prowokatorem. Nie jest przy tym, aby to też

było jasne, członkiem partii komunistycznej. Mówi wyłącznie prawdę. Prosi, aby pan konsul mu uwierzył.

Młody konsul słuchał go uważnie. Zadał potem parę surowych pytań. K. odpowiadał jasno i przekonująco. Konsul dał mu wiarę. Przyjął przesyłkę. K. gorąco podziękował. Już wstając, zapytał, czy mógłby przyjść znowu, powiedzmy za miesiąc, w takiej samej sprawie. Konsul się zgodził. Spotkali się ponownie.

A potem sam konsul zaproponował, jak w jakiejś opowieści szpiegowskiej, aby spotykali się regularnie co miesiąc, w umawianych za każdym razem innych miejscach. Na kolejne spotkanie K. przyniósł, zakupione przez siebie, dwie identyczne teczki. Dał konsulowi jedną. Przychodził z drugą. Łatwo było usiąść, na przykład w SPATiF-ie, niedaleko Kanadyjskiej Ambasady, i postawić te dwie teczki przy nogach stołu, a przy wychodzeniu pomylić się jakby i wziąć nie swoją teczkę, tylko tę drugą; a konsul brał teczkę zawierającą nowy materiał dla „Kultury”. Tak trwało miesiącami. Przedłużyło się w lata. Zmienił się Konsul. Następny, wprowadzony w proceder przez poprzednika, kontynuował grę.

Reportaże ukazywały się w „Kulturze”. Autorem był niejaki „Józef Dwernicki”. Reżim był wściekły. K. wiedział, że prowadzone są dochodzenia – kto to jest ten Dwernicki. Nie doszli do tego nigdy. A on prowadził od tamtego czasu podwójne

życia. Funkcjonował publicznie jako redaktor naczelny oficjalnie wydawanego czasopisma, a zarazem prowadził stałą, zakonspirowaną współpracą z paryską „Kulturą”. Każdy jej numer był czerwoną płachtą na byka komunistycznego reżimu.

Kontynuował przesyłanie swoich reportaży, gdy wybuchła Solidarność. Nie odsłonił przyłbicy autora „Kultury”, ale również i w kraju zaczął pisać odważniej, mówił o tym, że Sierpień 1981 roku to było dla całego narodu jak wyjście z ciemnej piwnicy na światło dnia, na powietrze. Po raz pierwszy od lat można odetchnąć głęboko.

W kolejnym wstępniaku w „Strofach” pochwalił się swoją AK-owską tradycją rodzinną. Odwołał się do niej w kilku wierszach. Ku zaskoczeniu wielu kolegów pisarzy stał się jednym z przywódców buntu w środowisku literackim. Wszedł do nowo wybranego Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Organizował mitingi poetyckie towarzyszące wiecom i strajkom. Sam na nich przemawiał i czytał swoje wiersze. Zorganizował koło Solidarności w redakcji „Strof”. Wybrany na zjazd wolnego związku zawodowego w Hali Oliwii w Gdańsku, wygłosił płomienne przemówienie o niezbędności wolnego słowa dla normalnego funkcjonowania społeczeństwa. Zebrał długotrwałe, huczne oklaski. Opublikował zestaw swoich starych wierszy trzymany do tej pory w szufladzie. Między innymi gniewną balladę, napisaną przez młodziutkiego poetę – którym był gdy ja

tworzył – spontanicznie reagującego na krwawą masakrę na Wybrzeżu w 1970 r. Publikował też teksty pisarzy do tej pory korzystających tylko z podziemnego „drugiego obiegu”. Poświęcił cały jeden numer poezji Zbigniewa Herberta. Do „Strof” dodał comiesięczny dodatek – „Strofy młodych”, zbierając w nim wiersze młodych i najmłodszych poetów i poetek, których do tej pory cenzorzy nie dopuszczali do publikacji, mimo jego usilnych starań.

Nie tylko on przecież – wielu innych, miliony innych wyszło wtedy z podziemia, ośmieliło się, zaczęło mówić pełnym głosem. A przeciwnik – reżim, jakby przywarował, wycofał się.

K. nie wiedział wtedy, i większość Polaków nie wiedziała, że reżim nie zrezygnował z ani szczypty swojej władzy, tylko w ukryciu zbierał siły do rozprawy z narodem, która miała nastąpić z datą 13 grudnia 1981. Ale wtedy wydawało się, że idzie wolność. Cenzura także zelżała. Paradoksalnie, tego redaktor „Strof” nieco żałował. Bo znikły powody częstych wizyt u pięknej „Towarzyszki Naczelnik” w Urzędzie Cenzury. Zaczął wręcz za nią tęsknić.

Sumując jego udział w „Karnawale Solidarności”, odpowiednie służby nalepiły na nim etykietkę „opozycjonista”. Z tą etykietką na czole został internowany w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku.

I tak już zostało. A raczej on został po tej stronie barykady, którą junta Jaruzelskiego rozbiła czołgami, i przez długich osiem lat czerniał po niej tylko ślad, jak te ciemne plamy spalonych samochodów, które widział na asfalcie przed Komitetem Wojewódzkim partii w Radomiu, gdzie pojechał zaintrygowany tym, co się tam stało, w lecie 1976 r.

Gdy wypuścili go z więzienia na wiosnę 1982 roku, to już w opozycji został. Zresztą nie miał do czego wracać. Jego czasopismo, „Strofy”, zostało w międzyczasie po prostu zlikwidowane. On sam nie został „zweryfikowany”, to jest dopuszczony do pracy, jako dziennikarz. Imał się różnych zajęć, także fizycznych, między innymi, przez kilka tygodni był pomagierem w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta i nawet dobrze się wykształcił w podczepianiu kubłów na śmieci do wielkiej śmieciary. Publikował pod ziemią.

Więc – tak – dla urzędnika imigracyjnego obcego państwa – mógł być nadal podejrzanym „opozycjonistą”, może wręcz wywrotowcem, może nawet kandydatem na terrorystę.

(...)

Trzy tygodnie choroby (*podczas padnemie, red.*) stanowiły – dla niego – kulminację tego koszmaru. Nasunęły myśl o możliwie bliskiej śmierci. Nie mogły mu nie nasunąć pytań o sprawy

ostateczne. (...) Pozostała jakaś dziwna czczość, nie, nie fizyczna – duchowa. Potrzeba zmierzenia się z zasadniczymi, ostatecznymi pytaniami o sens życia i sens śmierci. Po raz pierwszy od dawna poczuł, jak to nazwał sam dla siebie, „niedosyt wieczności”. Po raz pierwszy od bardzo dawna zaczęła go trapić, wręcz przerażać myśl o unicestwieniu. Tylko materia? Tylko to śmiertelne ciało? Tylko te siedemdziesiąt lat? Już nic więcej? Już nic dalej? W ogóle – nic?

I gdy otrzymał po raz drugi zaproszenie na festiwal poezji w Tel Awiwu to natychmiast postanowił tam pojechać. Ale tym razem nie na wycieczkę turystyczną i na celebrację swego *ego* jako „wybitny poeta”, ale w poszukiwaniu odpowiedzi na podstawowe, najprostsze, a także i te najtrudniejsze, pytania egzystencjalne. O egzystencję. O jej granice. O życie. O śmierć. O życie po życiu. O wieczność. O materię. O ciało. A może, jednak, i o duszę?

Zobaczył w tej podróży szansę przemyślenia tych pytań tam, gdzie dwa tysiące lat temu padały na takie pytania odpowiedzi. Takie problemy były tam i wtedy rozważane w nauczaniu wędrownego proroka, Jezusa Chrystusa. Odpowiedzi były udzielane słowem, ale także działaniem. Wynikały ze zdarzeń, jakie się tam rozegrały.

Więc zaplanował pielgrzymkę w poszukiwaniu ostatecznego sensu życia. Życia i śmierci.

Głównym założeniem tego nowego planu było całkowite ignorowanie współczesnej rzeczywistości krainy, w której miał się znaleźć. Już poprzednio postanowił nie dać się jakoś zmanipulować gospodarzom do wprzęgnięcia w ich machinę propagandową. Teraz umocnił się w tej decyzji, ale powody tego sytuowały się nie w „dziś”, ale we „wczoraj” – chciał jakoś rekonstruować dla siebie samego rzeczywistość tej krainy z przed dwóch tysięcy lat, niejako z pominięciem jej współczesności.

Zaplanował więc, że, tak, znajdzie się w państwie Izrael, będzie miał do czynienia z żydowskimi urzędnikami i strażnikami, z poetami i profesorami, z recepcjonistami w hotelach, kelnerami w restauracjach, konduktorami w pociągach, kierowcami w autobusach, będzie brał udział w międzynarodowym festiwalu poezji i w ogóle będzie funkcjonował w rzeczywistości „dzisiaj”, ale będzie stale pamiętał, że to tylko zewnętrzna powłoka, skorupa talmudyzmu, ateizmu, współczesnej polityki i nowoczesnej cywilizacji. I cały czas będzie sięgał w głąb, przenosił się myślą, medytacją, wyobraźnią i ponawianymi aktami woli w materię życia tej krainy przed wiekami, „wczoraj”.

Założył więc sobie, że na czas pobytu na tamtej ziemi wyłączy się całkowicie z jej współczesności i w ogóle z bieżącego życia – na ile to tylko będzie możliwe. Nie będzie czytał gazet, nie będzie oglądał telewizji ani Internetu, nie będzie czytał otrzymywanych

e-maili, ani pisał do kogokolwiek. Tak przez dziesięć dni. Taki eksperyment - aby znaleźć się w życiu, które tam się toczyło dwa tysiące lat temu. Aby wyraźnie słyszeć słowa, które tam, wtedy brzmiały. Aby jasno widzieć ludzi, ich zachowania i działania.

Spróbuje wykasować, wytrzeć z pamięci i wyobraźni wszystkie brudy, plamy, paskudztwa współczesnej kultury, wyciszyć wszystkie jej szумы, hałasy, dźwięki, zawiesić wszelkie kontakty z ludźmi, po to by zobaczyć wyraźnie krajobrazy, miejsca i ludzi tamtego czasu - tak jak wychodząc wcześniej rano przed górskie schronisko widzi się z całą ostrością w czystym, chłodnym powietrzu rysującą się drogę na skalisty szczyt.

Szukając odpowiedzi na nurtujące go pytania, siądzie gdzieś w cieniu, w kącie jakiegoś kościoła, w podziemiu na przeciwko groty, czy też izdebki w Nazarecie i będzie słuchał dialogu anioła z młodą dziewczyną, a ta rozmowa zapisana potem przez natchnionego kronikarza, zacznie być powtarzana przez tych, którzy chcą towarzyszyć tym dwojgu, stanie się częścią modlitwy, która odmawiana była już pewnie miliardy razy na przestrzeni dwóch tysięcy lat. Będzie biegł nocą w grupie pastuchów do innej groty, czy też dziurawej obórki, stojącej gdzieś na pustynnym pastwisku pod Betlejem i będzie ich pytał dlaczego tam bieżą. Będzie dołączał do spieszących z różnych stron nad to zakole Jordanu, gdzie charyzmatyczny pustelnik nakazywał ludziom zanurzać się w wodzie i wzywał ich do

badania swych sumień. Będzie wsłuchiwał się w jego słowa w nadziei, że usłyszy odpowiedzi na dręczące go pytania. Będzie siadał na trawie na łagodnym zboczu spływającym od wsi Kafarnaum ku rozległej tafli jeziora Genezaret, by słuchać nauk wędrownego kaznodziei, wyłuskując z jego słów ziarno do siewu w swojej duszy.

- Popatrz, popatrz - powiedział sam do siebie. - Już mówisz o duszy, choć nie wierzysz, że ją masz. To będzie jedna ze spraw, które trzeba będzie tam rozważyć. Bardzo prosto: Tylko ciało? Tylko materia? Czy jednak ciało i dusza? Duch?

A potem - wrócił w wyobraźni do swoich planów - będzie deptał piaszczyste i kamieniste dróżki i ścieżki, łapiąc z trudem oddech w skwarne popołudnie, wzniecając swymi stopami zatykający płuca kurz, starając się nadążyć za gromadą podążającą za tym kaznodzieją, który, gdy się zatrzyma przy jakiejś studni, wjedzie do jakiegoś domku, czy synagogi, to powie mu może słowo, zdradzi mu kod otwierający stronę Internetową z odpowiedzią na wciąż nurtujące go pytania - o sens życia, a zwłaszcza o sens śmierci. Ach, i będzie się wspinał na wzgórze Golgoty, ukrywając się przed rzymskimi patrolami, aby, z ukrycia za jakimś krzewem, czy załomem skalnym, patrzeć z przerażeniem na krwawą egzekucję trzech skazańców, starając się zrozumieć, co to straszne wydarzenie oznacza dla niego samego.

Cały czas – sam sobie to zdecydowanie zastrzegł – będzie obiektywnym, krytycznym, zdystansowanym obserwatorem i słuchaczem. Rezerwował więc sobie pełną swobodę wyciągania wniosków z tego, co będzie widział w wyobraźni i czego będzie słuchał, także w wyobraźni, przetwarzając słowa ze starych ksiąg w jakieś współczesne „audio”.

(...)

Wszystko to sobie dokładnie zaplanował, gdy – po raz drugi – podjął decyzję podróży. Zdecydował odwiedzić po kolei Nazaret, Betlejem, zakole Jordanu, Kafarnaum i Jerozolimę. Na więcej punktów programu podróży, którą już teraz sam dla siebie nazywał pielgrzymką, nie starczyłoby pewnie czasu w kontekście obowiązków związanych z uczestnictwem w festiwalu poezji.

Gdy tak sobie to uporządkował, zabrał się do przeczytania na nowo – na nowo, bo kiedyś zrobił to przeszło pół wieku temu, mając lat niespełna dwadzieścia – czterech Ewangelii i na dodatek Dziejów Apostolskich. Przestudiował wydobyte z Internetu mapy tamtych okolic. W biurze podróży, znajoma agentka, dała mu pęk przewodników – czytał je uważnie, robiąc notatki na marginesach. Kupił u niej bilet, pomogła mu też zarezerwować hotel, który wedle zaproszenia, ofiarowywał uczestnikom festiwalu znaczną zniżkę. Ten hotel miał nazwę: „Hotel Heroda”, co zwróciło jego uwagę, zastanowiło go i

zaskoczyło, ale skoro był rekomendowany i dawał zniżkę, to warto było z niego skorzystać. W Internecie wyszukał kilka reklamowych filmów pokazujące turystyczne i pielgrzymkowe atrakcje, kraju do którego miał jechać. Dokładnie poznał w ten sposób cały ten - w istocie tak niewielki - skrawek ziemi z jego krajobrazami, zabytkami, miejscami kultu. Naturalnie, na ile to było możliwe pośrednio - właśnie przy pomocy tych różnych informacji, opisów, fotografii, filmików.

I tak się tu znalazł.

Stojąc przed wojskowym urzędnikiem imigracyjnym był w tej chwili kimś innym niż tamten poeta i uczonec, który wybierał się kiedyś na Festiwal „Poezja Mundum in Publico”. Tego izraelski oficer nie mógł wiedzieć, bo ta przemiana dokonała się, i dokonywała się nadal, gdzieś głęboko w jego wnętrzu.

Czekał spokojnie.

- Jak mnie wpuszczą - myślał - to zrealizuję mój plan. Jak nie - to będzie to wskazówka, że cały ten plan był błędny, niepotrzebny, chybiony.

Więc nawet się nie niecierpliwił. Czekanie przedłużało się. Stojący za nim żołnierze wymieniali głośniejsze uwagi.

- Chyba mnie biorą za terrorystę, albo jakiegoś zagorzałego antysemitę, albo też nie mogą ustalić mojej tożsamości, z tym moim pokręconym, poplątanym życiorysem kiedyś pupilka, potem krytyka reżimu komunistycznego; kiedyś gniewnego, rozwrzeszczanego młodego poety, a już po chwili starego laureata, doktora *honoris causa*, „autorytetu moralnego”.

Niewątpliwie, dbając o swoje bezpieczeństwo, stale zagrożone i narażone na atak, strzegąc swego małego terytorium, smacznego kaska nęcącego głodnych świeżego mięsa sąsiadów, mają zasadę bardzo dokładnego sprawdzania, kto mianowicie przybywa do ich kraju, kim jest, skąd, po co, dlaczego i tak dalej. Oj, chyba nie zrealizuję mego tajnego planu pielgrzymki w kamuflażu uczestnika poetyckiego festiwalu. Chyba nie będzie mi dane rozsypywać pereł mojej poezji przed miejscowymi, pardon... Powstrzymam się od zbyt drastycznej metafory.

W tym momencie w otworze plastikowej osłony stanowiska kontrolera pojawił się jego paszport. Wystawała z niego jakaś kartka.

- Wiza jest na tej karcie. Następny! - powiedział głośno oficer po angielsku przestając się nim interesować.

K. wziął więc swój paszport i odwrócił się. Żołnierze, dotąd stojący za nim rozstąpili się. Ruszył w ich stronę, minął się z następnym wywołanym do okienka pasażerem. Rozczytując

liczne tabliczki i strzałki poszedł po swój bagaż. Jego walizka stała samotnie obok nieruchomej już karuzeli. Podał celniczce torbę podróżną. Pogrzebała w niej i oddała bez słowa. Nawet nie kazała mu otworzyć walizki, która musiała być już dokładnie prześwietlona, a także przeszukana, co miał odkryć otwierając ją w hotelu, gdy zobaczył w nieładzie kłęb swoich rzeczy, które przed wyjazdem spakował bardzo starannie.

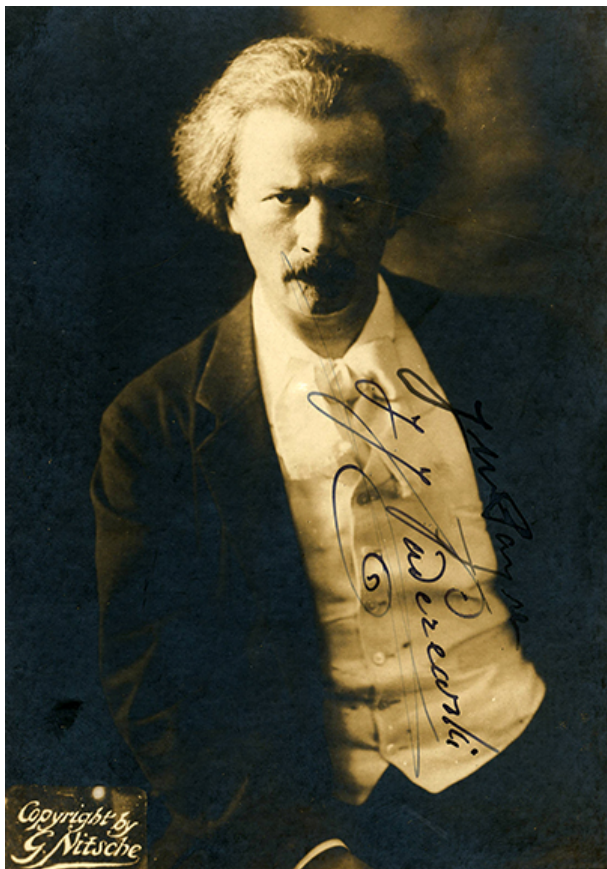
Wyszedł na podjazd przez dworcem lotniczym w jasne, ostre, gorące, przedpołudniowe, wiosenne słońce.

*

Kazimierz Braun jest reżyserem, pisarzem i uczyonym. Prowadził teatry i reżyserował w Polsce, reżyserował również w Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Kanadzie, Niemczech i innych krajach. Opublikował ponad 50 książek (prac naukowych, powieści, dramatów, poezji) w kilku językach. Wykładał na uniwersytetach i prowadził warsztaty dla reżyserów w Polsce, USA, Irlandii, Wielkiej Brytanii.

„Powrót Paderewskiego” Kazimierza Brauna

Barbara Trygar (*Rzeszów*)



Ignacy Jan Paderewski, 1909 r., fot. G. Nitsche, University of Washington, źródło: wikimedia commons

Co to jest Ojczyzna?-

odpowiedziały:

„Jest to miejsce,

w którym najmilej spocząć i umrzeć –

kiedy się ma gotowość nieustanną życia

i utrudzania się tam,

gdzie w każdym czasie danym

najdzielniej o Ludzkość idzie”.

[...]

Wszyscy dziadowie

i

Ojcowie Rzeczypospolitej Polskiej

*tak pojmowali sprawę polską**[1]***

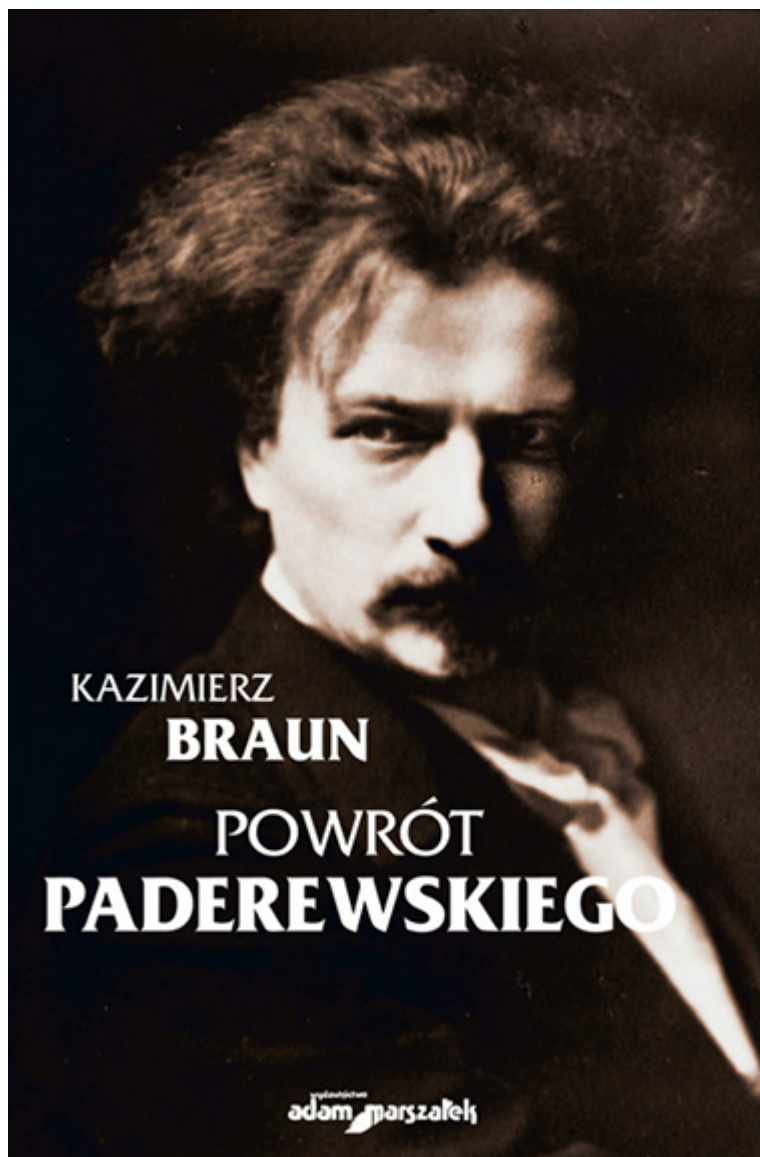
*

Słowa z wiersza *Co to jest Ojczyzna* Cypriana Kamila Norwida wprowadzają nas w ważne zagadnienie wspólnej przestrzeni, historii, tradycji i patriotyzmu. Czynniki te współkonstrytuują określone środowisko ludzkie. Zadaniem tego środowiska jest realizacja wartości. Jak dodaje autor *Promethidiona* „Bo ojczyzna... jest to moralne zjednoczenie” . Warto przypomnieć słowa z jego *Memoriału o Młodej Emigracji*: „[...] Ojczyzna to wielki – zbiorowy-Obowiązek, *un devoir collectif*...” . Obowiązek czego? Służenia Ojczyźnie poprzez realizację wartości indywidualnych i powszechnych. Kazimierz Braun w swojej twórczości dramaturgicznej i prozatorskiej ukazuje drogi poszukiwania i realizacji takich wartości jak: wolność, sprawiedliwość, bezpieczeństwo, równość, jak również wartości takich jak prawda, dobro i piękno. Jako reżyser, teatrolog, pisarz i nauczyciel akademicki uczy jak wypełniać obowiązki wobec Ojczyzny, pamiętać o ważnych wydarzeniach, pielęgnować tradycje i szanować historię.

Autor książki *Powrót Paderewskiego* pracował w teatrach w Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Krakowie, Toruniu i Tarnowie. W latach 1967-1974 kierował Teatrem im. J. Osterwy w Lublinie, a w latach 1975-1984 Teatrem Współczesnym we Wrocławiu. Wykładał na Uniwersytecie Wrocławskim, Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu, w PWST w Krakowie i PWST we

Wrocławiu, oraz na uczelniach amerykańskich m.in.: New York University, City University of New York, Swarthmore College, University of California Santa Cruz, University at Buffalo.

Prowadził wykłady gościnne i workshopy dla reżyserów na wielu amerykańskich uniwersytetach oraz w Polsce, Irlandii i Wielkiej Brytanii. Wyreżyserował ponad 150 przedstawień w teatrach i telewizji w Polsce i Stanach Zjednoczonych, a także w Bułgarii, Irlandii, Kanadzie i Niemczech. W pracy reżyserskiej inspirował się przede wszystkim koncepcjami artystycznymi Adolphe Appia, Edwarda Craiga, Stanisława Wyspiańskiego, Juliusza Osterwy. Stworzył ideę „Teatru Wspólnoty”. Do jego najwybitniejszych prac reżyserskich zaliczono cykle przedstawień według sztuk Cypriana Norwida, Tadeusza Różewicza i Williama Szekspira, oraz *Dziady* Adama Mickiewicza, *Dżumę* Alberta Camusa i inne. Opublikował ponad pięćdziesiąt książek, w tym studia z dziedziny historii teatru, jak również powieści, dramaty i poezje.



Kazimierz Braun *Powrót Paderewskiego* [5]

Powrót Paderewskiego to powieść z gatunku „historical fiction”. Historyczne wydarzenia i postaci funkcjonują w obrębie fikcyjnej akcji. Ignacy Jan Paderewski wybitny polityk i wielki artysta odegrał ważną rolę w odzyskaniu niepodległości w 1918 roku. W 1919 roku został pierwszym Prezydentem Rady Ministrów i Ministrem Spraw Zagranicznych. Przeszkody polityczne nie pozwoliły mu realizować wytyczonych zadań, postanowił wyjechać z kraju. Wyjechać, aby znów do niego powrócić?

Pisarz powraca do historii wielkiego Polaka. Ignacy Jan Paderewski światowej sławy pianista, wielki patriota w 1915 roku przyjechał do Ameryki ze Szwajcarii, gdzie wraz z Henrykiem Sienkiewiczem powołał Komitet Ratunkowy dla Polski. Podobne utworzył w Paryżu, Londynie i w Stanach Zjednoczonych. Od samego przybycia do Ameryki podjął działalność w celu odzyskania niepodległości przez Ojczyznę. Prowadził liczne rozmowy dyplomatyczne z Rządem Amerykańskim. W 1915 roku rozpoczął współpracę z płk. Edwardem Housem doradcą Prezydenta Woodrowa Wilsona, w 1916 roku rozpoczął współpracę z Prezydentem Wilsonem. 11 stycznia 1917 roku ogłosił *Memoriał* na temat Polski, w którym przedstawił historię Polski z jej uwarunkowaniami geograficznymi. Postulował w nim przywrócenie Polski w kształcie przedrozbiorowym. W kolejnym *Memoriale* przygotowanym również dla Prezydenta Wilsona argumentował przyznanie przyszłej Polsce Prus Wschodnich i Gdańska. 22 stycznia 1917 roku Prezydent po zapoznaniu się z *Memoriałami* złożył oświadczenia w Senacie USA, w którym postulował powstanie „zjednoczonej i niepodległej Polski” .

Kolejnym działaniem Paderewskiego było powołanie Armii Polskiej, pod patronatem Sokolstwa. Na początku 1917 roku wysłano 23 ochotników-Sokołów ze Stanów Zjednoczonych do kanadyjskiego Toronto, w celu odbycia szkoleń oficerskich w armii kanadyjskiej. Od połowy marca 1917 roku konsekwentnie

oddziały szkoliły się w oparciu o donację Paderewskiego w Cambridge Springs w Pensylwanii. 4 kwietnia 1917 roku polski polityk podczas przemówienia na nadzwyczajnym sejmie Sokolstwa w Pittsburghu ogłosił plan powołania Armii Polskiej w Stanach Zjednoczonych pod nazwą „Armia Kościuszkowska” .

W czerwcu 1918 roku działacz niepodległościowy odebrał defiladę wygłaszając takie słowa: „Przychodzę do was ze słowem miłości na ustach, z bezmierną wdzięcznością w sercu. (...) Idźcie śmiało! Idźcie z wiarą w świętość naszej sprawy, idźcie z wiarą w zwycięstwo!” .



Fortepian Ignacego Jana Paderewskiego w Ambasadzie RP w Waszyngtonie, źródło: wikimedia commons

Ignacy Jan Paderewski od samego przybycia do Stanów Zjednoczonych prowadził twórczy dialog z Polonią amerykańską. Propagował ideały etyczne zbudowania zewnętrznego ładu między społecznościami. Podkreślał, że zasadą myślenia etycznego jest „twórczy duch” dlatego zawsze po spotkaniach koncertował. Warto przypomnieć jego *Menuet*, który powstał w 1884 roku, w którym popisuje się swoimi niepowtarzalnymi umiejętnościami, jak podkreślił Braun:

„Menuet” wybucha na chwilę serią eksplozji muzycznych fajerwerków, to istna kanonada, lecą jeden za drugim świetlne pociski i wybuchają gdzieś na niebotycznej wysokości. Zaraz potem jednak muzyczna narracja wraca do szeptu, zawiesza w powietrzu jakieś pytania, odpowiada, przetwarzając te pytania, a więc nie odpowiadając. W części środkowej „Menuet” przechodzi w postchopinowski wręcz mazurek. Echa Chopina budzą echa polskiego, wiejskiego krajobrazu wczesną jesienią, otulonego w tajemniczy smutek, to tu, to tam przetykanego promieniami zachodzącego słońca. Krajobraz wiejski zda się powiększać, obejmuje salę balową w jakimś pałacu, gdzie wirują tańczące pary i ich cienie. Głośny śpiew przemienia się znów w muzyczny szept, powracają echa niedopowiedzianych pytań, niewyznaczonych zwierzeń. Pozostaje uczucie uczestnictwa w tajemniczym rytuale piękna, ku któremu można spojrzeć jak przez wpółuchylone drzwi, podnieść oczy, by polecieć gdzieś na wypiętrzających się chmurach a z nich zstąpić na skrzącą diamentami rosy poranną łąkę...[9].

Inspiracje muzyką Fryderyka Chopina skłaniały Paderewskiego do jeszcze głębszej refleksji nad sprawami Ojczyzny, świata, historii, kultury i sztuki polskiej. Rozumieć muzykę Mistrzów to odkryć całe bogactwo duchowych doświadczeń, które są w niej zawarte. W muzyce łączą się dwa ideały: doskonałość formy i

wielkość ducha[10]. Wsłuchiwać się w dźwięki muzyki wielkich Artystów to z powagą i wielkim szacunkiem traktować sprawy narodowe.

Paderewski podróżował po ogromnym kontynencie od wybrzeża wschodniego z Nowym Jorkiem, Filadelfią, Bostonem poprzez krainę Wielkich Jezior, z Buffalo, Detroit i Chicago, aż na wybrzeże zachodnie z San Francisco, Los Angeles, San Diego i od Północnej Dakoty do Florydy. Doprowadził do zjednoczenia wszystkich organizacji Polonii amerykańskiej, uczestniczył w licznych konferencjach propagując takie wartości jak Bóg, Honor, Ojczyzna. Jak podkreślił pisarz:

(...) właśnie pojawienie się Paderewskiego – postaci tak wybitnej, znanej, charyzmatycznej – na politycznej scenie Polonii amerykańskiej, Ameryki, Polski i świata stało się jednym z zasadniczych czynników, które przesądziły o zmartwychwstaniu Polski jako państwa niepodległego. Jego stałe dążenie do wartości wyższych poparte było nieprawdopodobną wręcz pracowitością. Jego artyzm harmonijnie łączył z wiedzą. Jego maniery, uwaga i szacunek dla każdego rozmówcy (posługiwał się siedmioma językami) pozwoliły mu komunikować się swobodnie zarówno ze zwolennikami, jak i przeciwnikami. Paderewski zogniskował wolę Polaków w kraju i na emigracji. (...) Opatrzność i

Historia znalazły w nim szczególnego pośrednika .

Ludzie namawiali go na powrót do Polski w 1922 roku i na kandydowanie na Prezydenta. Czy ten Powrót okaże się możliwy?

Kazimierz Braun w książce *Powrót Paderewskiego* wskazuje, że proces tworzenia jest procesem odkrywania. Proces tworzenia jest nierozzerwalny z procesem poznawania, rozumienia i konstytuowania. Odkrywania Piękna Historii, Tradycji i Sztuki. Każdy początek jest czymś co było, ale nie minęło. Każdy powrót jest twórczy, pozwala, by myśl sięgała jeszcze głębiej i dążyła do doskonałości.

*

[1] C. Norwid, *Co to jest Ojczyzna* [w:] tenże, *Poezja i Dobroć*, wybrał i wstęp M. Piechał Warszawa 1981, s. 290.

[2] C. Norwid, *Pisma wszystkie*, zebrał, tekst ustalił i uwagami krytycznymi opatrzył J.W. Gomulicki, Warszawa 1973, t. 7, s. 6.

[3] C. Norwid, *Pisma wszystkie*, t. 9, dz. cyt., s. 63-64. Zob. W. Stróżewski, *O pojęciu patriotyzmu* [w:] tenże, *Istnienie i wartość*, Kraków 1981, s. 290-301.

[4] Więcej informacji na temat biografii i twórczości Kazimierza Brauna: B. Trygar, *„Ja” w drodze do Wolności, Prawdy i Piękna. Aspekty aksjologiczne twórczości prozatorskiej Kazimierza Brauna*, Rzeszów 2019.

[5] K. Braun, *Powrót Paderewskiego*, Toruń 2020, ss. 254.
Zdjęcie książki pochodzi ze strony Wydawnictwa: Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń.

[6] K. Braun, *Powrót Paderewskiego*, dz. cyt., s. 199.

[7] Informacje te pochodzą z książki K. Brauna, *Paderewski wraca*, rozdziały: *Pakt Gnieźnieński, Konferencja w Warszawie*, s. 44-49; s. 181-241.

[8] K. Braun, *Powrót Paderewskiego*, dz. cyt., s. 202.

[9] K. Braun, *Powrót Paderewskiego*, dz. cyt., s. 35-36.

[10] W. Stróżewski, *Chopin i Norwid [w:] tenże, Wokół Piękna. Szkice z estetyki*, Kraków 2002, s. 289-307.

[11] K. Braun, *Powrót Paderewskiego*, dz. cyt., s. 205.

Zobacz też:

Żywot Paderewskiego

„Dzieci Paderewskiego” - spektakl Kazimierza Brauna

Od marzeń do spełnienia



DANUTA BŁASZAK

FRYZJERKA 2

Miodem płyną rzeki

Izabela Zubko

Biorąc do ręki powieść Danuty Błaszak pt. „Fryzjerka 2. Miodem płyną rzeki”, zastanawiałam się na ile jest ona kontynuacją części pierwszej zatytułowanej „Fryzjerka. Na pokuszenie losu”. Czy pojawią się w niej kolejne intrygi i tajemnice? Czy nadal miłość, zdrada i niespełnienie będą stanowiły temat przewodni? Jaką wartość ma teraz pieniądz dla głównej bohaterki książki?

Wpleciony w życie Jolanty ciąg zdarzeń natury społecznej i

osobistej dały mi odpowiedź na powyższe pytania zaledwie w jeden wieczór (bo tyle zajęła mi lektura tej publikacji). Ślub z Jakubem na zawsze odmienił życie kobiety i nic już nie było takie, jak wcześniej. Choć i w tej części znajdziemy liczne zawiłości ludzkiego losu, to są one ukazane w innym kontekście. Przede wszystkim zostały oparte na spełnionej miłości, na akceptacji samej siebie oraz przyjęciu przez otoczenie. A wsparcie i uznanie, jakie otrzymała od męża i jej rodziny, przyczyniły się do wewnętrznego rozwoju i wiary we własne siły. Ponadto pozwoliły na życie w zgodzie z własnym sumieniem i odwagę na realizowanie marzeń.

W książce znajdziemy wiele obserwacji i spostrzeżeń egzystencjalnych, co może stać się dla Czytelnika jego osobistym zbiorem przemyśleń. Bardzo szybko odnajdzie on w opisywanej przez Danutę Błaszak codzienności siebie oraz swoich bliskich. Na szczególną uwagę zasługuje tu język, jakim posługuje się autorka. Dzięki niemu zarówno zabawne, jak i trudne, czy wręcz dramatyczne opisy czytamy z zapartym tchem.

Zarysom przeżyć bohaterów towarzyszy urokliwy krajobraz świętokrzyskich wsi. Wypełnia on świat skrajnych emocji: radości i smutku, zagubienia się i odnalezienia, namiętności i odrzucenia. Kolejnym uzupełnieniem doznań są przywoływane cytaty znanych w Polsce i na świecie literatów, ukazujące obraz ich lirycznego bądź prozatorskiego świata, który jednocześnie

staje się tłem akcji, podobnie jak podniebne opowieści pilotów, a także relacje z pracy paramedyków.

Książka ta przedstawia analizę ludzkich zachowań mających miejsce nie tylko w okresie pandemii COVID-19. Ukazuje drogę do niezależności, zwraca uwagę na wzięcie odpowiedzialności najpierw za siebie, a potem za innych oraz kładzie nacisk na korzystanie z prawa do podejmowania samodzielnych decyzji dotyczących życia i przyszłości.

*Danuta Błaszak, Fryzjerka 2 - Miodem płyną rzeki,
NORBERTINUM, Lublin 2022, s. 200*

*

Danuta Błaszak (Floryda, USA)



Danuta Błaszak

Z wykształcenia matematyk (teoria przestrzeni wielowymiarowych i nieskończoności), studia na Uniwersytecie Warszawskim. Również studia podyplomowe, dziennikarstwo

(reportaż, dyplom u Krystyny Goldbergowej), a później pedagogika, Uniwersytet Warszawski. Valencia College, Major in English.

Formalny debiut poetycki w 1986 roku: wygrana w konkursie na udział w warsztatach literackich w Staromiejskim Domu Kultury; jednocześnie jej wiersze w tym samym roku zostały zaakceptowane przez tygodnik „Radar” (wyd. RSW Prasa-Książka-Ruch), gdzie zaczęła pisać regularnie krótkie recenzje oraz migawki z plenerów literackich. Jej pierwszy tomik z przedmową Adama Kowalskiego, redaktora „Radaru”, nosił tytuł *Wiersze*. Kolejne tomiki wierszy to m.in.: *Tereska ze smutnego raju* (WKMS 1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS (Niezależny Związek Studencki, NURT, drugi obieg, 1989), *Kwiaty i wiersze* (DSP Publishing 2006), e-book *Brudnopis nowego tomiku*, (Orlando 2020), (Inowrocław 2020). Oprócz tego udział w antologiach i druk w prasie literackiej.

Tłumaczka literatury pięknej, pisarka, poetka, laureatka nagród, m.in. lubińskiego Amora oraz Ikara – statuetki Wojsk Lotniczych i Obrony Kraju, za poezję lotniczą. Nagrody im. Agnieszki Osieckiej za cykl wierszy *Alonuszka*. Autorka powieści: *Oboje zbyt wrażliwi*, *Marzenia moje*, (Lublin 2021), (Lublin 2022); zbioru opowiadań *Assignments for Professor Orsini*,

(Valencia College, Dreamme Little City 2005) oraz książek reportażowych, m.in. *Seks przez telefon, Plotki z Florydy, Group Home Recollections* (Bianka B. Bird), *Notatnik z autyzmu* – o amerykańskim ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem, książka redagowana przez Martę Berowską; *Mathematics vs. Poetry* – rozmowy z naukowcami o różnicach pomiędzy poezją a matematyką w postrzeganiu świata (Dreamme Little City 2005). Jednym z ważnych tematów reportażowych jest Pokolenie „Współczesności”: książka reportażowa *Wywiady – spotkać „Współczesność”* oraz artykuły i publikacje książkowe dotyczące Pokolenia „Współczesności” redagowane wspólnie z Anną Marią Mickiewicz.

Promuje polską literaturę, m.in. poprzez serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland* w języku angielskim, współredaktor: Anna Maria Mickiewicz, grafika: Agnieszka Herman (poetka i grafik), współpraca: Alicja Kuberska. Do udziału w książkach zapraszani są pisarze polskiego pochodzenia oraz wybitni poeci z całego świata. Razem z Anną Marią Mickiewicz opublikowała w tej serii książki: *Poeci zza oceanu i* (Londyn 2020).

Zobacz też:

Fryzjerka 2 - druga część powieści Danuty Błaszak

Fryzjerka 2 - druga część powieści Danuty Błaszak



DANUTA BŁASZAK
FRYZJERKA 2
Miodem płyną rzeki

Zbigniew Mirosławski (Tarnów)

Przede mną leży druga część *Fryzjerki*, współczesnej powieści o losach Joli, pasjonatki paralotniarstwa, pilotażu, skoków spadochronowych, dbającej o rozwój wewnętrzny (ukazywał to wątek przezwyciężenia toksycznej więzi z matką i starszym, zonatym partnerem w części pierwszej). Autorką jest Danuta Błaszak, działaczka polonijna z Florydy, dziennikarka, edytorka, poetka i tłumaczka. Powieść została starannie wydana, z widoczną dbałością o szatę graficzną powierzoną ponownie

Agnieszce Herman. Obecny tytuł *Fryzjerka 2, Miodem płyną rzeki* zapowiada ciąg dalszy i obiecuje pomyslną historię, wręcz dobrostan.

Specyfiką prozy Danuty Błaszak jest wplatanie do narracji nazwisk współczesnych pisarzy (w poprzednim wydaniu Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i... samej współpracującej z nią poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman, nominowanej w czasie w którym toczy się akcja, do nagrody Orfeusza).

Obecnie lista pisarzy wydłużyła się. Częścią powieści jest wielogłos, cytaty i opinie innych. Wpływ ma na to osobowość pisarki i jej doświadczenia wydawnicze, autorki edytorki antologii tematycznych.

Nazwiska pisarzy, których utwory są cytowane, zebrane są na ostatniej stronie książki, niemal jak indeks do książki naukowej.

Znajdziemy tutaj także oprócz wyżej wymienionych: Aleksandrę Ziólkowską-Boehm, promotorkę polskiej literatury i Halinę Birenbaum w krótkich ciepłych wspomnieniach o kotach.

Festiwal poezji u Ryszarda Grajka, Alicja Kuberska, Iza Zubko... Przyroda w Kieleckiem jest jak w wierszach Grażyny Tatarskiej. Do spraw fryzjerskich odważnie dołącza Leszek Szymański,

założyciel ruchu literackiego „Współczesność”, z opowieścią o
wszawicy w powojennej Warszawie. Przywołanych literatów jest
więcej, bo odwołania dotyczą m. in.: Homera (wątku Odyseusza i
nimfy Kalipso), Ewy Szelburg-Zarembiny, Marka Twain'a czy
Melchiora Wańkowicza.

Kontynuacja posiada wszystkie walory części pierwszej, trudno
nie przypomnieć, bo być może nie wszyscy znają tę pozycję.
Zatem podkreślić wypada zarysowanie wyraźnych charakterów.
Lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż
niekorzystne „układy” się zmieniają. Trzeba być aktywnym. Liczy
się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od
codzienności. Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię.
Uznawana za rywalkę Ligia zostanie przyjaciółką.

Jola, bohaterka części drugiej, jest już po swoim weselu.
Organizuje nowe miejsce zamieszkania. Czas powieści zaczyna
się 18 kwietnia 2020 roku. Ona i Jakub, co w naszych polskich
warunkach jest dość niezwykle, mają prywatny, choć służący do
pracy w firmie, helikopter EC 135 i samolot Cessna 182. Planem
akcji są: wieś w Kieleckiem, potem fikcyjne podwarszawskie
osiedle „gdzie miodem płyną rzeki” i warszawskie cmentarze:
Bródno i Wawrzyszew.

Powieść ma ambicję łamania stereotypów. Jola z zawodu
fryzjerka według jej nauczycielki powinna zdawać na studia na

Politechnice. Daje sobie radę udzielając korepetycji z fizyki synom szwagierki. Jest zaradna i wie czego chce. Wartkie dialogi: Joli z Wandą, z Ligią Molską i jej mężem Pawłem, zreżymowane posuwają akcję do przodu. Niewątpliwie są ważnym walorem tej historii.

Incydentalnie pojawia się były partner Joli, Romuald. Jest włamywaczem, bo chce wydobyć z jej starego mieszkania swoje rzeczy. Pojawienie się informacji o cioci Kwiecie ma zachęcić do sięgania po część pierwszą przez tych, którzy jej nie znają. Obecne są także inne odniesienia do wcześniejszych wydarzeń. Są też opisane: perypetie covidowe, szczegóły dotyczące opieki nad małymi kotkami, przyjęcie do domu psa ze schroniska. Wątek niespodziewanie prowadzący do zaskakującego rozwiązania jest postać Rafała Kopliszki. Wiąże się z nim sprawa oszczerstwa zarzucającego pooperacyjne komplikacje i śmierć pacjenta Ligii. Nie będę ujawniać tutaj zakończenia książki.

Przypomniana została tragedia niemieckiego pilota Andreasa Lubitza, który będąc w depresji celowo rozbił się samolotem w Alpach szwajcarskich w 2015 r.

Nie sposób relacjonować chronologicznie rozwijających się kwestii, opisywać toku akcji. Ich poznanie to zadanie stojące przed każdym czytelnikiem. Podobnie ocena lektury. Nie zamierzam jej formułować, bo to sprawa indywidualnych

preferencji. Zresztą napisałem powyżej dosyć sporo argumentów za książką, o której piszę.

Na pewno powieść zaskakuje. Kiedy wydaje się, że wszystko pomyślnie się układa, że czekają nas jedynie: kolejne rozmowy, wizyty, podróże, wszystko zmienia się za sprawą wykładu, jaki ma poprowadzić Ligia na uczelni medycznej. Wszystko jest przygotowane, projektor, głośniki, połączenia internetowe, pełna obsługa security...

Danuta Błaszak na pewno jeszcze nie raz sięgnie po klawiaturę komputera (dzisiaj nie pisze się już piórem) i opowie nam następne koleje losu Joli? A może o innych bohaterach.

*

Danuta Błaszak, Fryzjerka 2 – Miodem płyną rzeki,
NORBERTINUM, Lublin 2022, s. 200

*

Zobacz też:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” - fragment książki

Agnieszka Herman - wiersze z tomiku „Tło”

„Fryzjerka. Na pokuszenie losu” - fragment książki

Danuta Błaszak (*Floryda*)



Fot. Jill Wellington z Pixabay

13 listopada, środa. U mamy na Bielanach

Nie podejmuj pochopnych decyzji. Zadzwoń i powiedz przepraszam. Zerwiesz z panem Romualdem i jak sobie poradzisz? - mama Jolki była wyraźnie zdenerwowana. - Z czego zapłacisz rachunki?

- Dlaczego z nim zrywasz? - dociekała ciocia Roma. - Może to jeszcze da się naprawić.

Jolka Kuźmicka, 32-letnia wysoka blondynka, przyszła pomóc swojej mamie w porządkach. Ciemny blond ze złotymi

pasemkami, profesjonalnie zrobiona fryzura. Jolka: wąskie biodra, drobne piersi, a z tyłu zaokrąglone pośladki. Dość duża miękka pupa, jakby trochę nie pasowała do tego, co z przodu.

Mieszkanie już lśniło czystością. Dwa małe pokoiki i znacznie większy salonik, w którym teraz kończyła sprzątanie. Pozostał jeszcze duży wełniany dywan w tureckie wzory. Mieszkanie umeblowane niekonsekwentnie, można powiedzieć, że z brakiem gustu. Przy ścianach regały z książkami pochodzące jeszcze z czasów, kiedy ludzie chcieli mieć w domu książki. Grubo ciosane drewniane półki obok meblościanki „Kowalskiego”. Z sufitu opadał duży żyrandol z kryształowymi wisiorami, piękny, jak z dawnych królewskich pałaców. Szesnaście punktów oświetleniowych, małych żaróweczek, i mosiężne ramiona też lśniły czystością. Mieszkanie było dość wysokie jak na postkomunistyczne budownictwo, a projekt żyrandola był przygotowany na sale pałacowe i dziadek Jolki wiele lat temu musiał skrócić, a może odciąć, długi złoty łańcuch, który pierwotnie łączył żyrandol z sufitem.

Jolka włączyła odkurzacz.

W telewizji powtarzali reportaż z wiosennych pokazów lotniczych. Na dużym ekranie płaskim jak ściana kolorowe balony, samoloty ze smugami dymu, spadochroniarze trzymający się za ręce... Nikt tutaj tego nie oglądał. Matka lubiła, żeby

telewizor był włączony i rzadko zmieniała kanały.

Nawet w tym hałasie, przy warkocie odkurzacza i głośnej muzyce dochodzącej z telewizora, słowa matki docierały do niej z przeraźliwą wyrazistością.

- Jak żył twój ojciec, wódka była na stole, nie pieniądze. Chciałabym, żebyś potrafiła docenić to, co robi dla nas pan Romuald - powiedziała mama.

To było za mocno powiedziane i ciocia Roma, która siedziała do tej pory cicho w fotelu, musiała zareagować.

- Stefa, ty na świętej pamięci Xawerego nie wygaduj takich rzeczy. Nie potrafił zarobić, i zawsze było u was krucho z pieniędzmi, ale pijakiem nigdy nie był.

- Przypomnij sobie, Romka, jego kolegów. Wymiotowali do naszej wanny. Jeszcze teraz emalia odchodzi w tych miejscach, gdzie próbowałam odkazić chlorem.

- To było okazyjnie - sprostowała ciocia. - Co innego niż być pijakiem. Pili okazyjnie, a wymiotowali tylko raz. Ten bimber, który załatwiła Kwietka, pochodził z niepewnego źródła.

- No tak - zgodziła się mama. - Bimber nie był z Łomianek, tylko

z jakiegoś innego miejsca.

- I myśmy też wtedy chorowały - dodała ciocia. - Pamiętam, parzyłaś herbatkę miętową. Nawet ty piłaś, Stefa, chociaż bierzesz te swoje pigułki i lekarz mówi, że nie powinnaś.

Jolka pomyślała, że nigdy w życiu nie знаła żadnej pani, kóra nazywała się Kwietka i załatwiała bimber, ale to może było dawno, jak jeszcze była dzieckiem. Nie zapytała, to nie było ważne.

Jolka bała się zostać bez pieniędzy i to wydawało się teraz najważniejsze. Jej „narzeczony”, jak czasem mówiła mama, albo po prostu pan Romuald, umiał się zachować. Zawsze, kiedy odwiedzał Jolkę, gdy mieszkała razem z mamą, i potem też, kiedy już miała własne niespłacone mieszkanie, wyrażał zrozumienie dla ciężkiej sytuacji finansowej i zostawiał na stole kilka banknotów. Przy każdej jego wizycie obie rzucały spojrzenia niecierpliwie na ten róg stołu, gdzie, wiedziały, pojawią się pieniądze.

Skok spadochronowy z samolotu, tandem z obcym instruktorem

Jakub zostawił ją na lotnisku i pojechał do pracy. Trzeba dbać o

kontrakty zagraniczne i te inne też, wiadomo, jeśli człowiek jest odpowiedzialny i rzetelnie wypełnia swoje obowiązki zawodowe.

Skok w tandemie. Jolka czekała na swoją kolej. Pomimo napięcia, które gdzieś tam w środku ją roznosiło, z jakiegoś niewiadomego powodu polubiła tę atmosferę na strefie, ludzie byli sympatyczni, wyluzowani – z wyjątkiem tych, co czekali na tandem..

– Po co mi ten tandem? A co jak spadochron się nie otworzy, co jak samolot się rozbije po starcie? Może będzie wiało i odwołają skoki?

Takie myśli chodziły jej po głowie.

Usłyszała jak ktoś wykrzykuje jej imię. To był jej instruktor. Podeszła bliżej, przyjrzała mu się dokładnie. – Więc to z nim przyjdzie mi umrzeć? Jak mam zginąć to przynajmniej w towarzystwie przystojniaka. Co ja wygaduję, nikt nie umrze, skup się, słuchaj co on mówi!

Instrukcje, co robić w czasie lotu w tandemie były klarowne. Miała szczęście, jej instruktor miał poczucie humoru, to odgoniło jej negatywne myśli.

– Widzisz tę uprząż? Jest lepsza o tych, co niektórzy mają w sypialni. Mrugnął okiem. Natychmiast wyobraziła sobie i Jakuba,

w duchu się uśmiechnęła.

Bała się, że w czasie lotu będzie czuła, że żołądek podchodzi do gardła, że spada...

- Będiesz się czuła, jakbyś leżała na miękkim materacu z powietrza - ktoś powiedział.

Samolot wznosił się w powietrze, odliczała minuty, miała wrażenie, że trwa to wieku.

- Wcale mi się nie śpieszy, tak sobie tu posiedzę, popatrzę przez okno...

Kamerzysta ustawiał kamerę. Pomyślała:

- Jak będzie wyglądał wymuszony uśmiech na przerażonej twarzy?

Nagle dźwięk silników, huk powietrza przerwał zadumę, ktoś otworzył drzwi od samolotu. Zobaczyła samodzielnych skoczków, jak z radością opuszczają samolot, niektórzy robili salta.

- To wygląda jak świetna zabawa!

Instruktor po raz kolejny sprawdził uprząż, naciągnął paski,

klamry. Przesuwali się w kierunku wyjścia.

Kamerzysta czekał na zewnętrznym stopniu samolotu, gotowy do skoku. Stanęli w drzwiach.

Spojrzała w dół. Nie czuła lęku wysokości, ziemia wyglądała jak na pocztówce. Serce biło tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z klatki piersiowej.

- Więc to jest moje być albo nie być. Taka będzie moja śmierć. Nie, właśnie że nie umrę!

Instruktor coś do niej mówił, ale niewiele do niej docierało.

Czy chcę fikołka na wyjściu? Nie zdążyła pomyśleć, a jej ciało było w powietrzu i robiło obrót.

Najpierw był „free fall” - lecieli bez otwartego spadochronu. Minęło kilka dobrych sekund zanim ‘odzyskała’ władzę nad swoim ciałem. Zaczęła sobie przypominać instruktaż:

- Kolana zgięte, ciało wygięte w łuk, tak, chyba tak to miało być.

Przed nimi był spadochroniarz z kamerą. Był bardzo blisko, wyciągnął do niej rękę, robił śmieszne miny. Zaczęła się śmiać, znaczy próbowała, pęd powietrza jej tego nie ułatwiał.

Jej instruktor też miał kamerę przyczepioną do nadgarstka.

Instruktor otworzył duży kolorowy spadochron. Pozwolił jej sterować, to znaczy pozwolił, żeby zrobiła samodzielnie powoli i ostrożnie dwa małe zakręty. Wylądowali miękko na trawie. Wiatr zaczął szarpać tkaninę i szybko podbiegli jacyś spadochroniarze, żeby pomóc.

Przepełniona radością, szczęśliwa, że żyje, bezwiednie uściskała instruktora. Czuła się jak bohater o super odwadze. Zadanie zaliczone, to tyle. Nigdy więcej.

Potem kupiła dla wszystkich skrzynkę piwa i czekała, aż przygotują wideo z jej lotu. Przysiadło się do niej dwóch spadochroniarzy z Hawajów. Próbowali ją postraszyć.

- Nie zawsze skok w tandemie jest bezpieczny.

Opowiedzieli o instruktorze hawajskim, który dostał zawału w czasie lotu. Był silny wiatr i zniósł tandem na morze. Jego pasażerka utonęła. Najczęściej tandemy są bezpieczne, bardzo rzadko zdarza się coś takiego. Ktoś jeszcze opowiedział o dziewczynie, która wysunęła się z upręży i zginęła twardo uderzając ziemię. Zaraz potem jakaś odważna kobieta kupiła skok w tandemie na swoje osiemdziesiąte urodziny i też wysunęła się z upręży w podobny sposób, ale instruktor

zorientował się i w ostatniej chwili złapał ją za nogę. Jolka już by się nie wysunęła, bo po tych wypadkach nakazano wszyć do uprząży grubą taśmę w poprzek tej dziury, przez którą obie panie się wysunęły.

Wideo z jej skoku było gotowe. Oglądali wszyscy i czuła się cudownie.

Jakub dołączył do nich zaraz na początku filmu.

Były też piękne zdjęcia z jej skoku, oglądali wspólnie, a potem poprosili, żeby ktoś zrobił ich zdjęcie: Jolka i Jakub pod palmami. Pierwsze wspólne zdjęcie na Fejsbook. Co powiedzą ludzie, że oni są razem, przeleciało jej przez głowę, ale tyle się działo, że opinia ludzka mało się teraz liczyła. Na wszelki wypadek, zanim zdjęcia zostały zrobione, pobiegła z torebką do łazienki. Szybkim sprawnym ruchem wymodelowała włosy. Przeciągnęła usta pomadką.

Cycki, muszę poprawić cycki, one też muszą dobrze wyglądać! Ułożyła piersi w staniku, naciągnęła dekolot i wyszła.



Fot. krzysztofniewolny z Pixabay

Na złe dni, na świt, który trudno rozwiązać... Może kurs paralotniowy? Startuje się pod wiatr.

Ojciec Titki, jak tylko wyjęły bagaże z samochodu, włączył silnik, mocno dodał gazu i odjechał. Był spóźniony.

Instruktor Hubert stał przy swoim samochodzie zirytowany tym, że przyjechali tak późno.

- Pośpieszcie się dziewczyny, bo zaraz zrobi się ciemno - mruknął.

Titka wzruszyła ramionami i pobiegła gdzieś z telefonem.

Instruktor Hubert przypiął Jolce paralotnię. Rutyna, nerwowe, szybkie ruchy. Uniósł lekko skrzydło, ustawił do wiatru. W ostatniej chwili zapięła kask. To było za prędko. Nawet nie zdążyła zmienić butów. Miała na sobie eleganckie pantofle, które ślizgały się po śniegu. Ale to był dobry start. Pod wiatr, jak trzeba.

Poleciała wysoko. Skrzydło drżało, łapało turbulencje. Myślała, żeby dodać sobie odwagi, że to przecież szkolna paralotnia, taka do uczenia początkujących i że nic jej się nie stanie. Ręce w górze i nie bać się, przypominała sobie słowa Jakuba. Myślała o nim. Wcale się nie pogniewał. Chorował. Tak jak ona. Góry były piękne, ostre szczyty w oddali i zalesione zbocza tu blisko.

Spojrzała w dół. Jacyś ludzie podchodzili pod górę i patrzyli na nią. Chciała im pomachać, ale była tak wysoko, że nie mogliby tego zobaczyć.

Potem poczuła spokój i pomyślała, że niebo jest zawsze jakieś święte i błogosławione, niezależnie od religii, jaką się wyznaje.

Świerki były teraz ciemnozielone. Utraciły czapy śniegu. Była w niebie.

Przeleciała wysoko ponad polaną, na której planowała wylądować. Dopiero teraz zbliżała się do ziemi. Dalej był las. Przypomniała jej się ta część szkolenia, która mówiła o lądowaniu awaryjnym na drzewie.

Zobaczyła potok z piaszczystym brzegiem, pełnym małych kamyczków, z których woda splukała śnieg. Ostrożnie wykonywała manewry.

I kiedy już stała na ziemi, chciała śpiewać ze szczęścia.

Pantofle nie ślizgały się, gdy lądowała na piasku, ale po śniegu trudno było iść. Pamiętała kierunek – do góry i potem koniecznie w lewo.

Odpięła paralołnię i zarzuciła na jedno z niższych drzew. Jeśli będą jej szukać, prędzej wypatrzą kolorową paralołnię, niż ją gdzieś tam w lesie. Pod kolorową tkaniną tańczyły linki, jakby tysiąc pajaków wyginało długie ramiona.

Słońce zbliżało się ku zachodowi i zaczynało robić się zimno. Wiedziała, że musi iść. Nie wolno usiąść ani na chwilę, żeby nie zamarznąć.

Zdawało jej się, że widziała wilka skradającego się za drzewem. – Sen mara, Bóg wiara, powiedziała do siebie.

Pomoc nadeszła w postaci małego śmigłowca, który wylądował w tym samym strumieniu. Widocznie to było najlepsze miejsce do lądowania w tej okolicy. Wiatr, który zrobiło śmigło, uniósł paralognię zawieszoną na drzewie. Dobry pilot, pomyślała. Nie wplątał się w linki, bo wtedy oboje potrzebowaliby pomocy.

Ze śmigłowca wyskoczył mężczyzna. To był Jakub. Co on tutaj robi?

Wilk wyszedł zza krzaka i zbliżał się w ich stronę.

- Tu są wilki. Uważaj.

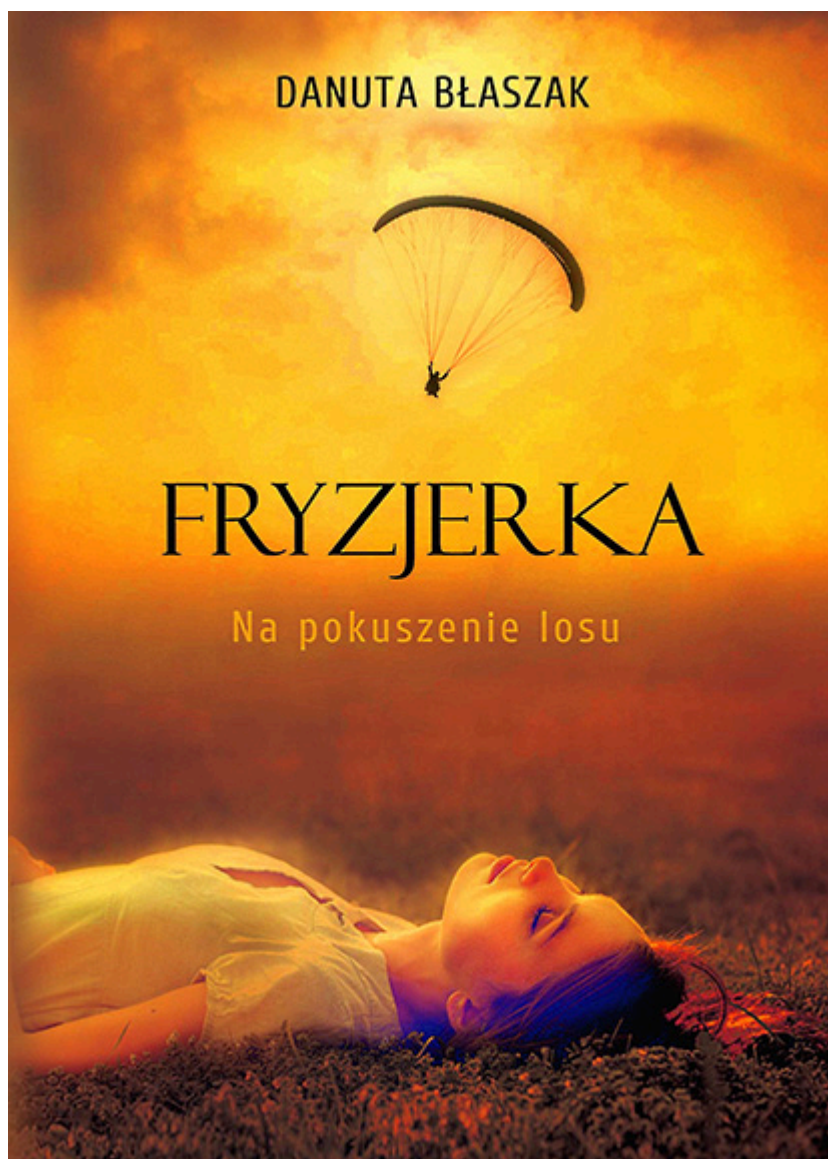
- Nie bój się - powiedział Jakub. - To nie wilk. To pies mojej siostry.

Pogłaskał psa. Pomyślała, że ją też mógłby pogłaskać, albo coś bardziej po ludzku.

- Jesteś sama? - zapytał. - Na pewno zerwałaś z tym idiotą?

- Czy zawsze zaczynasz akcję ratunkową od takich pytań?

Danuta Błaszak, Fryzjerka. Na pokuszenie losu, wyd. Norbertinum 2021 r.

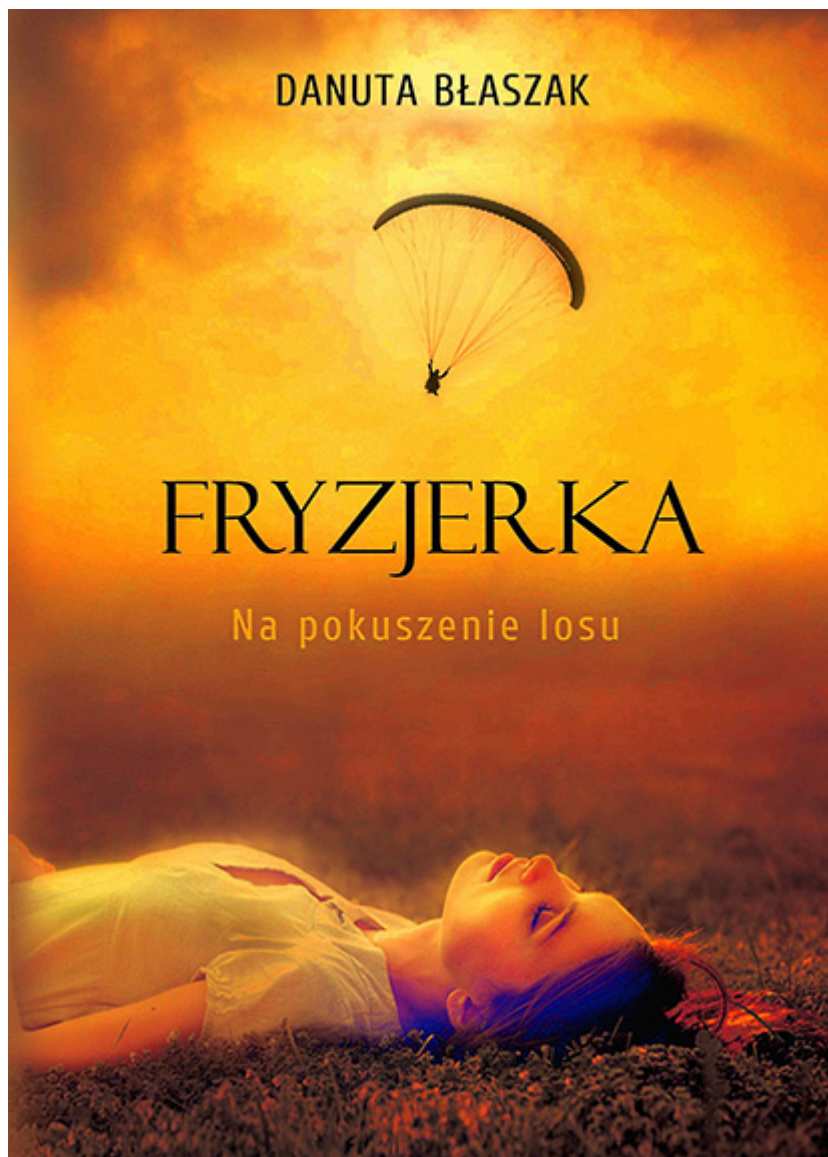


http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjyfyLUxx_OMAs

Recenzja:

„Fryzjerka” Danuty Błaszak

„Fryzjerka” Danuty Błaszak



Zbigniew Mirosławski (*Tarnów*)

Powieść pt. *Fryzjerka. Na pokuszenie losu* Danuty Błaszak została wydana przez szacowną, lubelską Oficynę NORBERTINUM, działającą od 1989 r., a w ofercie reklamującą się m. in.: poezjami ks. Janusza Pasierba pt. *Blask cienia*, tomem pt. *Chmura*, o Leonie Zdzisławie Stroińskim pióra Hanny Zofii Etemadi czy książką Anny Marii Mickiewicz, *Londyńskie bagaże literackie*.

Do sięgnięcia po tę pozycję zachęcają nie tylko: nazwisko autorki, Danuty Błaszak, dziennikarki, edytorki, poetki, tłumaczki i działaczki polonijnej z Florydy, także piękne i staranne wydanie, szata graficzna według projektu Agnieszki Herman. Na okładce zamieszczono graficzną zapowiedź tego o czym przeczytamy: są to unosząca się w powietrzu paralotnia, leżąca na trawie, rozmarzona dziewczyna, szybująca wyobraźnią w przestworzach. Ciepłe, miodowe barwy.

Na stronie ostatniej *résumé*, z którego wyjmuję kilka zdań na temat głównej bohaterki, fryzjerki Joli. Brzmi banalnie, ale intryga wciąga niepostrzeżenie, bo narracja jest dynamiczna i ciekawa. Przeczytamy

Jolka zdecydowanie zmienia swoje życie. – Już nigdy nie wezmę pieniędzy od mężczyzny – deklaruje. Zrywa z kochankiem i dotychczasową rutyną. Odważnie wywraca wszystko do góry nogami.

Faktycznie uzależnienie od żonatego Romualda, chorującej matki i faktycznych i „przyszywanych” ciotek, Stefy, Romy i Kwiety zdaje się tworzyć splątanie, trudne do odcięcia się od tych toksycznych związków. Relacja z koleżanką z pracy Michaliną jest ważna ale również podlega wahaniom, kiedy pojawiają się młodsze ubiegające się o pracę, Kasia i Mela.

Nie ujawniając zbyt treści trzeba zauważyć zarysowanie wyraźnych charakterów i starszych i młodszych kobiet, w tym Titki i Kitki, także panów Huberta i Jakuba. Pewną rolę odgrywa również przypadkowy tzw. łut szczęścia, a konkretnie wygrane uczestnictwo w kursie paralotniarskim.

Niezbyt często w życiu spotykamy się z taką odwagą rzucenia się w nieznane. Przypuszczam, że lektura powieści może uskrzydlać i dawać nadzieję iż niekorzystne „układy” można zmienić. Liczy się determinacja, pasja przynosząca radość i wytchnienie od codzienności.

Nowe spojrzenie na samą siebie, uwalnia energię. Nawet kłopoty finansowe, wysoki kredyt mieszkaniowy do spłacania nie zatrzymają Joli w realizacji marzeń. Recenzent NORBERTINUM stawia pytania „...Czy wrażliwa, delikatna dziewczyna poradzi sobie z wyzwaniem, przed którym samą siebie postawiła? Czy będzie umiała zgodzić się na miłość, jakiej dotąd nie znała?...”.

Oryginalną dygresją jest wspomnianie przez autorkę, w imieniu swojej bohaterki Joli, znanych poetek: Anny Marii Mickiewicz, Agnieszki Jarzębowskiej i... samej współpracującej z Danutą Błaszak poetki i autorki projektu okładki tej książki Agnieszki Herman.

Innym aktualnym wątkiem jest nadchodząca i rozwijająca się

pandemia. Refleksje na temat przebiegu zakażenia koronawirusem. Obecnie czyta się to inaczej niż miejmy nadzieję za parę lat. Kwestia ta jednak pozostanie rodzajem dokumentacji trudnych lat 2020 i 2021.

Dla zainteresowanych lataniem interesujące mogą stać się opisy kursu paralotniarskiego, zajęć z meteorologii, lotów helikopterem i skoków spadochronowych w tandemie i indywidualnie. Zwłaszcza tych na Florydzie nad Sebastian River, w Zephyrhills.

Warszawianka, Danuta Błaszak, wraz z rodziną wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych, mieszka w Orlando. Pisze o tym na czym zna się bardzo dobrze. Sama jest pasjonatką latania, skoków na spadochronie, paralotniarstwa. Od wielu lat zajmuje się promocją polskiej kultury. Prowadzi literacką stronę **miasto literatów ++** i we współpracy ze wspomnianą już dwukrotnie w tym tekście Anną Marią Mickiewicz z Londynu wydaje serię wydawniczą *Contemporary Writers of Poland*. Jest to seria dwujęzyczna, polsko-angielska. Trzeba wyrazić nadzieję, że pisarstwo Danuty Błaszak nadal będzie się rozwijać. Za sobą ma już publikacje w *Radarze* na łamach którego od 1986 r. pisała recenzje i informacje z plenerów literackich. Wydała tomiki: *Wiersze, Tereska ze smutnego raj* (1995); *Anegdoty liryczne* – tomik wydany przez NZS, NURT, w drugim obiegu, 1989. W dorobku posiada również książki reportażowe: *Plotki z Florydy* z

przedmową Marka Kasza (WKMS 1993); *Seks przez telefon - wywiad z dziewczyną z 0700* (IbiS); *Group Home Recollections* - Bianka B. Bird (Dreammee Little City 2014); *Notatnik z autyzmu* - o ośrodku pomagającym ludziom dorosłym z autyzmem (Dreammee Little City 2005); oraz tomiki wierszy, m. in.:
Otrzymała wiele nagród, medale i wyróżnienia.

Danuta Błaszak

Fryzjerka. Na pokuszenie losu

- Wydanie: pierwsze
- Miejsce i rok: Lublin, Norbertinum, 2021
- Objętość: 197, [2] s.
- Format: 147 x 208 mm
- Oprawa: miękka klejona
- ISBN: 978-83-7222-712-6

[http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?
fbclid=IwAR3fL98alzC-
fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs](http://norbertinum.pl/ksiazka/811/Fryzjerka-Na-pokuszenie-losu?fbclid=IwAR3fL98alzC-fpt5kgixkYSDnjYo1N8X9r6sDfwZ0OMtGjjyfYLUxx_OMAs)

Zbigniew Mirosławski, redaktor Współczesnej Polskiej Poezji i

periodyku - Magazyn Literacki, Aspiracje. Laureat ogólnopolskich nagród literackich.

Powieść Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa” po polsku

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.

„Konieczne kłamstwa” (*Necessary Lies*) to powieść o stracie osobistej i narodowej, o zdradzie i potrzebie przebaczenia, o najnowszej historii - wojennej i powojennej. Powieść o powrotach do korzeni, trudnych i bolesnych - ale koniecznych, jeśli przeszłość ma nie być tylko niepotrzebnym balastem, lecz stać się kluczem do poznania i zrozumienia nas samych. Jest to historia Wrocławia, miasta z niemiecką przeszłością i polską teraźniejszością oraz historia emigrantki znad Odry, która musi się zmierzyć ze skomplikowaną przeszłością swojego miasta. To

pierwsza powieść Ewy Stachniak, uznana za najlepszy debiut powieściowy Kanady roku 2000: nagroda Amazon.com/Books in Canada First Novel Award. Autorka pisze po angielsku, dzięki czemu jej niezwykle poczytne książki opowiadające polską historię z różnych epok, szeroko docierają do angielskojęzycznego czytelnika.

Na podstawie: www.ewastachniak.com



Ewa Stachniak, fot. ewastachniak.com

Rozmowa z pisarką Ewą Stachniak i tłumaczką Katarzyną Bogucką-Krenz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Polski czytelnik może już przeczytać po polsku powieść

„Konieczne kłamstwa” nagrodzoną w 2000 roku przez Amazon.com/Books in Canada. Co to dla pani oznacza?

Ewa Stachniak:

Cieszę się, że książka ukazała się w Polsce i bardzo jestem ciekawa reakcji czytelników, recenzji, uwag. W powieści pisanej z pozycji emigracji, polski czytelnik zwróci uwagę na inne rzeczy niż czytelnik kanadyjski. „Konieczne kłamstwa” – na jednym z poziomów narracji – są przecież zapisem wrażeń powrotu do kraju, po latach emigracji, tego pierwszego powrotu, pierwszych wrażeń wędrowca, który konfrontuje zapamiętane obrazy z rzeczywistością, wędrowca, który patrzy na Polskę z pozycji swoich kanadyjskich, emigracyjnych doświadczeń. Czytelnik polski zobaczy bohaterkę powieści, Annę Nowicką, podobnie jak nasze rodziny i przyjaciele widzieli nas w tych pierwszych latach wolności, emigrantów przyjeżdżających po latach do rodzinnego domu.

Ciekawi mnie też jak wypadnie konfrontacja mojej książki z innymi współczesnymi polskimi powieściami, czy literatura kanadyjska wpłynęła w zauważalnym stopniu na mój sposób pisania. Bo przecież język prowokuje różne skojarzenia.

Na czym polega odmiennność polskiej wersji powieści w stosunku do angielskiego oryginału?

ES: W angielskiej wersji książka skierowana była do czytelnika, który o Polsce i jej historii ma mgliste pojęcie i któremu trzeba wpływ tej historii na polską rzeczywistość przybliżyć. Patrząc na Warszawę czy Wrocław w 1991 roku Anna widzi nie tylko teraźniejszość, ale także przeszłość tych miast, lata wojny, powstania, zgliszcza. We Wrocławiu widzi ślady niemieckiego Breslau, pamięta morze gruzów. Z takim bagażem jej spojrzenie na polskie realia jest zupełnie inne niż kogoś, kto o tej historii nie ma pojęcia. Zmiana perspektywy oznaczała cięcia i przekształcenia w tekście. Wiele fragmentów można było w polskim tekście pominąć, inne trzeba było przeredagować lub wręcz dopisać, by zachować autentyzm szczegółów i wiarygodność faktów. Kiedy cytuję fragment wrocławskiej ulotki z 1968 roku, którą Anna i Piotr trzymają w ręku, to chcę żeby to była jedna z autentycznych ulotek z Wrocławia, a nie np. z Warszawy. Angielskie słowo „communist” tłumaczy się inaczej w zależności do okresu historycznego w którym było użyte: w 1968 roku Piotr mówi o „partyjnych”, w 1881 roku Anna pamięta „komunistów”, a w 1991 roku jej brat używa słowa „komuch”. W wersji angielskiej rewolucję w Quebecu można było określić jednym zdaniem, polskiemu czytelnikowi trzeba było dodać kilka wyjaśnień. To były drobiazgi, choć oczywiście bardzo ważne. Problemem największym, ale i jednocześnie najbardziej ciekawym, stało się nadanie polskich głosów moim bohaterom.

Powieść rozpoczyna się w Montrealu, ale już po kilku zdaniach

Anna wspomina swoją młodość, swój wyjazd z Wrocławia, pierwszą miłość – swoje polskie przeżycia. Kiedy pisałam te sceny po angielsku, polskie postacie musiały mówić językiem „opisowo-universальnym”, stworzonym dla nich w takim celu by czytelnik kanadyjski odczuł, że osoba, o której czyta, funkcjonuje w innym języku – czasami wtrącałam polskie słowa, by zachować koloryt głosów. W tłumaczeniu na język polski te zabiegi lingwistyczne straciły sens.

W budowaniu pełnych, polskich głosów najłatwiej było z postaciami, które w jakimś stopniu opierały się na wspomnieniach z przeszłości. „Słyszałam” jeszcze te głosy i mogłam zasugerować tłumaczce wybór konkretnych wyrażen. Babcia Anny mówi językiem mojej babci, którego specyficzne wyrażenia towarzyszą mi od dzieciństwa. Wprawdzie babcia Anny i moja babcia to dwie różne osoby, ale ich język to głos tego samego pokolenia. Także rodzicom Anny mogłam częściowo użyć języka pokolenia moich rodziców.

Najwięcej kłopotu sprawił mi Piotr, pierwszy mąż Anny. W moim polskim kręgu doświadczeń nie pojawiła się postać z jego rodowodem, nie mogłam więc czerpać z pamięci. Piotr Nowicki pochodzi z Krakowa, jest prawnikiem, brał udział w marcowych wydarzeniach 1968 roku we Wrocławiu, trzeba było mu stworzyć język, który charakteryzowałby i jego i jego pokolenie. To było moje zadanie, nie mogłam go zrzucić na barki tłumaczki, nie

mogłam powiedzieć – wymyśl głos dla Piotra. W rezultacie musiałam sceny z Piotrem prawie w całości przepisać, stworzyć na nowo jego polski głos opierając się na autentycznych historycznych materiałach z tego okresu, studenckich ulotkach, opisach marcowych wydarzeń we Wrocławiu. To była fascynująca przygoda językowa, w pełni spełniona w chwili gdy „usłyszałam” ten nowy głos Piotra.

Jak współpracowało się pani z tłumaczką?

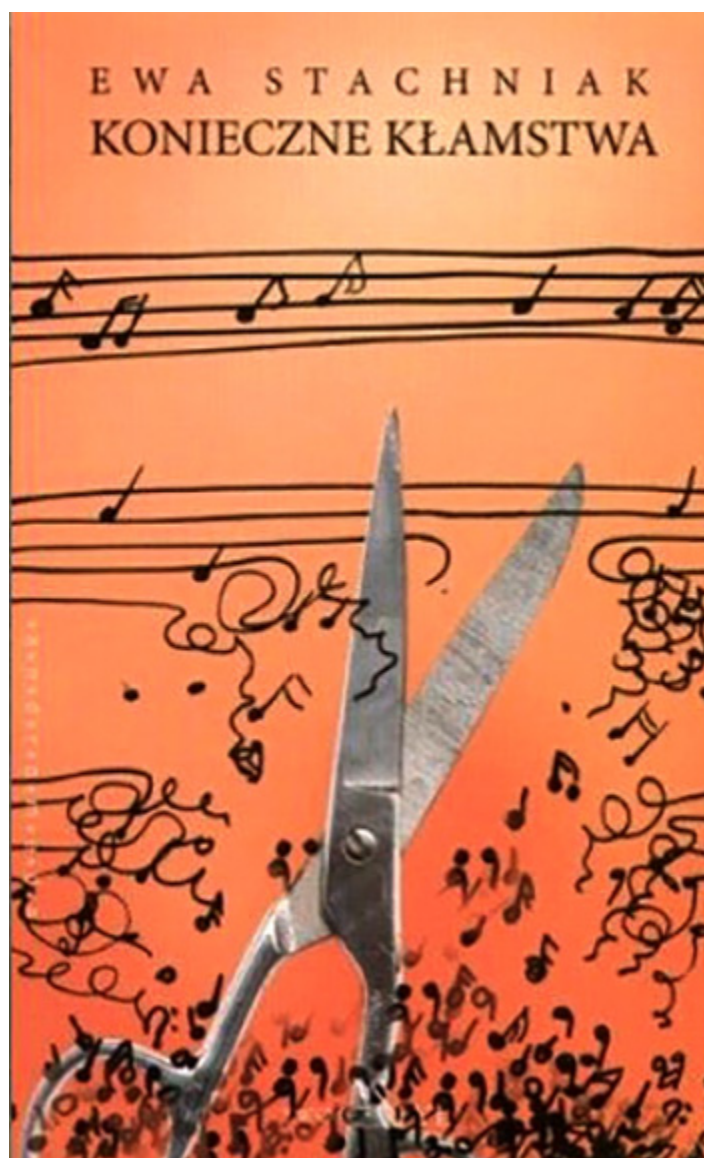
ES: Doskonale. Przypuszczam, że tłumaczom rzadko zdarza się pracować z autorem, który zna język na tyle, by móc brać udział w procesie redakcji tekstu w takim stopniu, jak to było z nami. Z Katarzyną Bogucką-Krenz, tłumaczką powieści, zgodziłyśmy się już na samym początku pracy, że naszym celem będzie nie tylko wierne oddanie tekstu, ale stworzenie takiego tłumaczenia, które byłoby „moim,” czyli najbardziej zbliżonym do polskiej wersji tej książki, jeśli miałabym taką napisać. Dla tłumaczki oznaczało to rezygnację, oczywiście tylko do pewnego stopnia, z autonomii, konieczność sprawdzania czy nasze językowe odczucia zgadzają się, i stałą gotowość do dyskusji nad tymi fragmentami, w których nasze odczucia gdzieś się rozmięły. Czasami dostawałam stronę, na której tłumaczone fragmenty tekstu pojawiały się w kilku wersjach, a ja miałam wybrać te najbardziej mi odpowiadające. W rezultacie każdy rozdział wędrował kilka razy między nami tak długo, aż obie byłyśmy zadowolone.

Praca nad tłumaczeniem była dla mnie bardzo ciekawa. Zdałam sobie ponownie sprawę z trudności, jakie napotyka polski tłumacz z języka angielskiego. Jedną z nich jest rytm zdania, jego wewnętrzna poezja. I tak na przykład rytmiczność w języku angielskim można uzyskać stosując powtórzenia słów, sylab, czy wręcz poszczególnych dźwięków. Przykładem może tu być to oto zdanie z pierwszej części mojej książki, opis powojennego Wrocławia: *A sea of ruins, surrounding small islands of still-standing buildings*, którego rytm opiera się na aliteracji. Podobny zabieg w języku polskim może przynieść taki „efekt poetycki” jak zdanie: *polska policja poszukuje pięciu panów...* Tekst poetycki, który po angielsku brzmi rytmicznie i naturalnie, w polskim bezpośrednim tłumaczeniu po prostu kuleje. Powodów może być wiele. Tradycyjna, staroangielska poezja oparta była właśnie na aliteracji, czyli powtórzeniu dźwięków; w polskiej poezji natomiast spoiwem był głównie rym. W rezultacie, aby uzyskać podobny efekt poetycki, który ja w wersji angielskiej uzyskiwałam poprzez powtórzenia, Kasia Krenz musiała uzyskać zupełnie innymi metodami, czerpiąc ze swoich zasobów poetyckich.

Jak pani poznała tłumaczkę, Katarzynę Bogucką-Krenz?

ES: Przez jej siostrę, Ewę Ślaszkę, polską pisarkę i tłumaczkę, która od wielu lat mieszka w Berlinie i aktywnie działa na pograniczu literatury polsko-niemieckiej, organizuje warsztaty

literackie, prowadzi pismo „Wir” itd.. Podczas jednego z pobytów w Berlinie, gdzie zbierałam materiały do mojej drugiej powieści, poznałam Ewę. Ona z kolei podarowała egzemplarz *Necessary Lies* swojej siostrze Katarzynie mieszkającej w Gdańsku. Katarzyna Bogucka-Krenz, jest nie tylko tłumaczką z języka angielskiego, jest też poetką i malarką. Poza tym jesteśmy w podobnym wieku, więc łączy nas język naszego pokolenia...



Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, 2004.

Co pani myśli na temat okładki polskiej wersji powieści?

ES: Bardzo mi się podoba. Jest graficznie prosta, ale bogata w znaczenia. Pocięte nożyczkami nuty sugerują Wiliama i linię melodyczną jego partytur, a także przerwane wątki życia wielu bohaterów książki, cięcie między nowym życiem i starym życiem, między Polską i Kanadą itd. Mogą także sugerować przecięcie spokoju i błogich wspomnień bohaterki, Anny Nowickiej, o człowieku, który krył w sobie tak bolesne dla niej tajemnice.

Ale książka już skończona, wydana. Teraz werdykt należy tylko i wyłącznie do czytelnika.



Katarzyna Bogucka-Krenz

Czym jest dla pani przekład literacki?

Katarzyna Bogucka-Krenz:

Przez lata wypracowałam sobie własną metodę przekładu, która opiera się na przekonaniu, że sama wiedza nie wystarczy do tego, żeby zostać dobrym tłumaczem literatury. Oczywiście, trzeba mieć warsztat, tj. dobrą znajomość języka obcego oraz

spore umiejętności posługiwania się mową ojczystą. Pod tym względem jest to praca niejako „usługowa”. Ale do dobrego tłumaczenia potrzeba jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, swego rodzaju pozawerbalnego wyczucia, zdolności niemal telepatycznego porozumienia się z autorem. Będąc przekąźnikiem nie swojej myśli, tłumacz spełnia rolę medium, jest pośrednikiem, który pomaga autorowi zaistnieć w innym języku, sam przez cały czas, jak sufler w teatrze, pozostając w cieniu.

Po drugie, tłumacz lepiej rozumie swoje zadanie, jeśli sam jest pisarzem czy, jak w moim przypadku, poetą. Każdą historię można opowiedzieć na sto sposobów. Tłumacz musi sobie nieustannie zadawać pytanie, nie jak on by ją opowiedział, tylko jak zrobiłby to autor, gdyby znał jego język. Które słowo by wybrał? A przecież autor chce ode mnie nie tylko moich słów. On liczy na to, że w moim języku odtworzę i odwzoruję cały jego świat, wyłowię jego ducha, oddam to „coś”, co często jest trudne do uchwycenia – aurę, emocję, nastrój.

Czasem żartuję, że najlepszą metodą jest tłumaczenie „z zamkniętymi oczami”, gdyż dopiero wówczas potrafię wsłuchać się w głos wewnętrzny tłumaczonego pisarza, oddać to wszystko, co decyduje o jego stylu i sile.

Proszę opowiedzieć o pracy nad tłumaczeniem?

KBK: Do pracy podchodzę zawsze bardzo osobiście i że tak powiem namacalnie: na kilka miesięcy wyprowadzam się z własnego świata i przenoszę do innego. To trochę jak gra w filmie. Jestem ze wszystkimi bohaterami naraz i każdym z osobna. Początkowo nic jeszcze na to nie wskazuje, po prostu tłumaczę słowo za słowem, zdanie po zdaniu. Ciężka, żmudna, czasochłonna praca. Nie zastanawiam się, pędzę przed siebie, mijam kolejne stronicie, jakbym jechała pociągiem, przyglądając się przez okno mijanym obrazom. Na tym etapie jeszcze nie podejmuję decyzji, nie dokonuję wyborów, nawet nie słyszę właściwego tonu. Zostawiam znaki zapytania, zapisuję po kilka wersji, wiem, że na decyzje będzie czas później. Nim jednak to nastąpi, przechodzi czas prób i przymiarek, kiedy wciąż nie do końca jestem pewna, w jaki sposób ja bym się wyraziła w danej sytuacji, gdybym była, na przykład, profesorem literatury, skrzypaczką, rybakiem dalekomorskim czy kelnerką w restauracji, a ściślej: jakbym to wyraziła po polsku, zważywszy na czas i miejsce, wiek, wiedzę i filozofię życiową danej postaci, i co najważniejsze – styl autora. A potem pewnego dnia okazuje się, że wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. I kiedy czytając przestaję myśleć o słowach, a zaczynam „słyszeć głosy”, wtedy wiem, że to już – mogę tekst odesłać do wydawcy.

Czy tłumacz musi się związać z bohaterami, poznać ich osobowość i odczucia, żeby oddać ducha czasu i miejsca, w

którym żyli?

KBK: Chyba nie da się inaczej. Ja w każdym razie nieodmiennie przywiązuję się do moich autorów i ich książek. W końcu przebywam z nimi codziennie po wiele godzin, i to przez długie miesiące. Staję się jakby matką zastępczą, która musi wybrać dla nich odpowiednie słowa, i jeszcze zrobić to tak, by czytelnik nic nie zauważył, by miał wrażenie, że tekst powstał od razu w jego języku. Dlatego czuję o wiele większą odpowiedzialność tłumacząc czyjs tekst niż pisząc własny.

Tak więc odpowiedź na pani pytanie jest nie tylko twierdząca – tak, przywiązuję się i zaprzyjaźniam z bohaterami, a potem trudno mi się z nimi rozstać. Ja powiedziałabym nawet więcej: uważam, że jest to warunek *sine qua non* dobrego tłumaczenia.

Jakie problemy napotkała pani podczas pracy nad książką Ewy Stachniak? Czy tym razem była to trudna praca?

KBK: Każde tłumaczenie niesie z sobą innego rodzaju trudności. Gdy w jednej powieści problem stanowią bardzo rozbudowane, wielokrotnie złożone zdania, w innej pułapką może się okazać pozorna prostota. Poza tym jest oczywiste, że tłumacz nie może się znać na wszystkim. Będzie, na przykład, znawcą białej broni, teatru czy roślin tropikalnych, a niewiele będzie wiedział o historii Wrocławia, muzyce czy... pozytywkach (tu

wyznaję zasadę, że oprócz lektury fachowej, do której należy się odwołać, trzeba też docierać do ludzi z danej branży i pytać, pytać i jeszcze raz pytać).

W przypadku „Koniecznych kłamstw” największa trudność kryła się w... polskości. Dlaczego? Ponieważ historia opowiedziana w tej książce znana jest polskim czytelnikom z ich własnego doświadczenia. Dla wielu z nich będzie to opowieść o nich samych. Przeżyli wypadki marcowe '68, przeszli represje, przesłuchania, relegowanie z uczelni. Pamiętają Sierpień '80 i stan wojenny, kartki na mięso i oddziały zomowców na ulicy. Wielu doświadczyło rozstania z bliskimi, którzy z różnych powodów zmuszeni byli wyemigrować z Polski. Wielu też w wyniku wojennej zawieruchy zmuszonych było zamieszkać na Ziemiach Odzyskanych, by odtąd w codziennym życiu mieć do czynienia z tak zwaną „sprawą polsko-niemiecką” (co ciekawe, Ewa Stachniak urodziła się we Wrocławiu, a ja w Gdańsku, a więc w miastach, które po wojnie, jak to się kiedyś mówiło, powróciły do macierzy).

Wiadomo, że wokół każdej epoki czy wydarzenia historycznego tworzy się otoczka językowa, na którą składają się nie tylko słowa-informacje, ale też swoiste słowa-klucze, charakterystyczne zwroty, skróty myślowe, idiomy i powiedzonka. Znane wszystkim, zrozumiałe, oczywiste. Powieść Ewy Stachniak obejmuje czas trzech pokoleń. Wspólnie z autorką

musiałyśmy ją napisać po polsku w taki sposób, by czytelnicy z każdego pokolenia mogli powiedzieć: tak, tak właśnie było!

Jak przebiegała pani współpraca z autorką?

KBK: Przystępując do pracy nad tłumaczeniem mamy przeważnie do czynienia z sytuacją, w której – paradoksalnie – świat przedstawiony mówi, podczas gdy sam autor milczy. Moim zadaniem jako tłumacza jest domyślić się, czego chce ode mnie pisarz. Tym razem nie musiałam zamykać oczu ani szukać drogi, odwołując się do telepatii. Po raz pierwszy znalazłam się w komfortowej sytuacji: w każdej chwili mogłam zapytać, co autorka chciała powiedzieć pisząc dane zdanie, a następnie, czy to, co ujrzała w moim tłumaczeniu, zgadza się z jej intencją. Można powiedzieć: wymarzone warunki pracy.

A mimo to, choć pewnie trudno w to uwierzyć, w pierwszym odruchu przestraszyłam się! Czego? Tego, że nie będę umiała stać się „głosem” autorki, że nie sprostim jej oczekiwaniom. Nie usłyszę jej! W praktyce ten bezpośredni kontakt (no, może pośredni, bo via internet i telefon) okazał się dodatkowym walorem pracy, fascynującą grą intelektualno-detektywistyczną, fantastycznym doświadczeniem.

Początkowo pracowałam sama, co, jak się domyślam, wystawiło autorkę na niemałą próbę cierpliwości. Ale najpierw musiałam

zostać sam na sam z jej książką, „poczuć” ją, niczym się nie sugerując. Dopiero potem byłam gotowa do rozmowy. Mogłam dyskutować, spierać się o słowa, próbować dziesięciu wersji jednego zdania, szukając tej właściwej. Trochę to przypominało zabawę w ciepło-zimno: ja wędrowałam przez labirynt, podczas gdy autorka pisała zza oceanu: krok w lewo, dwa kroki w prawo. A wszystko po to, by w ostatecznym rozrachunku to ona mogła zdobyć absolutną pewność, że przemówiłam jej głosem. Mam nadzieję, że tak się stało, że Ewa Stachniak czytając swoją powieść w moim tłumaczeniu, zapomina o mnie, a słyszy – siebie.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” - dodatku do dziennika „Gazeta” w Toronto w grudniu 2004 r.

Fragment powieści:

<https://www.cultureave.com/konieczne-klamstwa-fragm/>

Recenzja:

<https://www.cultureave.com/miedzy-wiernoscia-a-zdrada/>